

Meredith Webber

Szczególne święta

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sophie tak się zawzięła, że odnajdzie ojca Thomasa, że o jednym dotąd nie pomyślała. Przyszło jej to do głowy dopiero w środę, dokładnie o czternastej czterdzieści siedem, kiedy szła przez centrum handlowe w Brisbane, starając się nie myśleć o Thomasie i nie zamartwiać jego sytuacją...

I nagle, jak grom z jasnego nieba, poraziło ją pytanie: „A co będzie, jeśli ten ojciec się namyślił i teraz już go chce?”

Szok był taki, że gdyby nie oparła się jedną ręką o witrynę sklepu jubilerskiego, chybaby upadła. Oddychając głęboko, tłumaczyła sobie gorączkowo, że ten człowiek, kimkolwiek się okaże, nawet nie wie o istnieniu Thomasa, więc siłą rzeczy go nie zechce.

Sama siebie okłamujesz.

- Będzie dobrze! - mruknęła pod nosem.

- Dobrze się pani czuje?

Zatrzymała się przy niej starsza kobieta. Jeden rzut oka na jej miłą, zatroskaną twarz wyrwał Sophie z odrętwienia,

- Tak, dziękuję - powiedziała, czytając z miny nieznamomej, że jej nie dowierza. - Trochę słabo mi się zrobiło, ale już przeszło.

- Tam za rogiem jest księgarnia, z dużą kawiarnią na parterze - poinformowała ją dobra samarytanka.

- Jeśli o mnie chodzi, to dawno już odkryłam, że buszowanie po księgarniach działa na mnie uspokajająco.

Sophie uśmiechnęła się uprzejmie.

- Na mnie też - odparła. - Dziękuję za informację. Odepchnęła się ostrożnie od szyby, ale osłabienie na szczęście minęło, umysł zaczynał pracować, a nogi posłuchały wydanego przez mózg rozkazu i poniosły ją przed siebie. Na kawę nie miała ochoty, ale kupi Thomasowi jakąś książkę...

- Coś dla mamy, coś dla taty, coś dla ciotki Etty, coś dla Pritchardów i coś dla Marilyn. Coś dla mamy, coś dla taty, coś dla ciotki Etty, coś dla Pritchardów i coś dla Marilyn...

Gib, przeglądając błędnym wzrokiem ciągnące się bez końca rzędy pólek z książkami, powtarzał ten tekst bezmyślnie niczym mantrę. Zmęczenie nie pozwalało mu się skupić.

- Niech pan idzie do domu i się trochę prześpi

- poradziła mu rejestratorka.

Nie powiedziała: „Niech pan polata po sklepach, Boże Narodzenie za pasem!”.

Może powinien był posłuchać tej mądrej rady?!

Ale jeśli nie teraz, to kiedy? Dwoje członków jego szpitalnego zespołu tak prędko nie wróci, a znalezienie na zastępstwo pediatrów z doświadczeniem w pracy na oddziale noworodków przed samymi świętami, kiedy to całą ludzkość łącznie z jego żoną wywiało na urlop, to jak szukanie igły w stogu siana...

Tak, tam gdzieś pierzyna śniegu opatula ziemię, a tutaj, w słonecznym Queenslandzie, pełnia lata.

- Znalazł pan coś dla siebie?

Te wypowiedziane głębokim, zmysłowym głosem słowa przebiły się do jego umęczonej świadomości, kiedy był akurat w trakcie mamrotania pod nosem po raz któryś z rzędu listy tych, którym musi kupić prezent.

Obejrzał się, i zobaczył czarne zmysłowe oczy, pasujące idealnie do głosu, który przed chwilą usłyszał.

Jakby skądś je znał, chociaż nie był pewien, czy widział już kiedyś tę wysoką, kruczowłosą kobietę stojącą nad niską karuzelą z książkami kucharskimi.

- Nie za bardzo... - bąknął.

- Ja też nie mogę się zdecydować - oznajmiła, ogarniając zamaszystym gestem rozpościerającą się przed nią mozaikę

krzykliwie barwnych okładek. - Z tym, że ja nawet nie próbuję. Weszłam tu dla zabicia czasu.

- Czy my się aby nie znamy? - powiedzieli chórem i uśmiechnęli się równocześnie.

Kobieta wyciągnęła rękę.

- Sophie Fisher.

- Sophie Fisher? Doktor Sophie Fisher?

Kiedy ścisnął jej dłoń, zamiast tej wysokiej szczupłej dziewczyny w dżinsach, spłowiałym T-shircie, z długimi czarnymi włosami ściągniętymi niedbale w koński ogon, stanęła mu przed oczami wytworna, elegancka kobieta w ciemnym kostiumie, o czarnych włosach zaplecionych starannie w stylowy warkocz.

- Moja doktor Fisher?

Mówił od rzeczy, ale jego przymulony z przemęczenia umysł miał trudności z rozróżnieniem tych dwóch kobiet.

I ta ręka, którą ścisnął, podrygiwała tak, jakby kobieta nie mogła się zdecydować, czy ją cofnąć, czy też nie.

- Myślałem, że jest pani jeszcze w Sydney.

- Doktor Gibson? - Wymówiła to nazwisko z wahaniem, ściągając brwi. - Przepraszam, że od razu nie poznałam. Widzieliśmy się przecież niedawno na rozmowie wstępnej. Rزتargnienie. Thomas po raz pierwszy poszedł dzisiaj na cały dzień do przyszpitalnego przedszkola. Był już tam trzy razy, ale tylko rankami, żeby się zaaklimatyzować, a dzisiaj został już na cały dzień i trochę się denerwuję. Zamierzałam poświęcić ten dzień na znalezienie mieszkania, ale to marzenie ściętej głowy. Wychodzi na to, że wynajęcie lokum gdzieś bliżej szpitala będzie możliwe dopiero w przyszłym roku, kiedy zacznie się rotacja personelu. I znowu nerwy!

Długimi smukłymi palcami odgarnęła z twarzy pasemko niesfornych włosów i dorzuciła:

- Księgarnie to oazy spokoju, prawda? Pamiętał, że zwrócił na te piękne dłonie uwagę, kiedy sięgała przez stół po teczkę z informacjami, którą jego sekretarka przygotowała dla trójki kandydatów.

- Przepraszam! - Czyżby się powtarzał? - Sterczę tutaj jak szwankujący robot. Tak, to chyba dobre określenie. Mamy teraz...

Urwał, bo do głowy wpadł mu inny, o wiele lepszy pomysł.

- Szuka pani domu? Umieściła pani Thomasa w przyszpitalnym przedszkolu? Ma pani zamiar już tu zostać?

Chwycił ją za ramię i popchnął przed sobą w kierunku ruchomych schodów.

- Porozmawiamy przy kawie - rzucił. - Widziałem na parterze taką małą kafejkę.

Sophie, trochę spłoszona, obejrzała się przez ramię na doktora Aleksandra Gibsona. Podczas rozmowy wstępnej wyglądał i zachowywał się całkiem normalnie - starannie ogolony, uczesany, ciemny garnitur, krawat, no, mucha nie siada! - ale może to była tylko poza na użytek pozostałych członków komisji kwalifikacyjnej?

Szła jednak z nim świadoma, że wariatom lepiej się nie przeciwstawiać, zerkając z ukosa na jego ciemną czuprynę, którą zaczynała przyprószać siwizna. Zdecydowanie fryzjer mu się kłania.

Żona nie zwraca mu uwagi? I jak to możliwe, że zdążyła już zauważyć na jego palcu obrączkę?

- Przepraszam, pewnie ma mnie pani za stukniętego - rzekł z uśmiechem, kiedy zeskakiwali z ruchomych schodów, ale ten uśmiech nie zdołał zatrzeć zmęczenia ściągającego mu twarz ani wygładzić worków pod podkrążonymi niebieskimi oczami.

Sophie w ostatniej chwili opuściła rękę, która unosiła się już odruchowo, by pogłaskać go po zarośniętym szczecina policzku.

- Trudny okres?

Gib zauważył, że jej oczy, które początkowo wiał za brązowe, teraz ciemnieją i robią się szare. Czyżby się skrzywił, kiedy chciała go dotknąć?

Przy stanie jego nerwów to całkiem możliwe. Wprowadził ją do kafejki, posadził przy stoliku, a sam podszedł do kontuaru złożyć zamówienie.

Zaraz, przecież nawet nie zapytał, co by sobie życzyła.

- Dla mnie latte - powiedziała, stając za nim. A więc nie usiadła, lecz podeszła do kontuaru. - I makowiec.

Uświadomił sobie poniewczasie, że słowa te skierowane są do dziewczyny za ladą, i chociaż protestował, kiedy Sophie płaciła odliczonymi drobnymi, ta, nie zwracając na niego uwagi, podała numer stolika i wróciła tam, gdzie myślał, że ją zostawił.

- Duża czarna, stolik ten sam - powiedział do dziewczyny za ladą i omal pod ziemię się nie zapadł, kiedy odwracając się, przypomniał sobie, że przecież nie ma nic za darmo.

Zapłacił, podszedł do stolika i zajął miejsce naprzeciwko Sophie Fisher. Tam, na górze, między biografiami i książkami kucharskimi, pomyśl poproszenia jej, ubłagania, by podjęła pracę wcześniej, wydawał mu się całkiem dorzeczny. Teraz takiej pewności już nie miał.

- Chciał pan ze mną o czymś porozmawiać, doktorze Gibson - przypomniała mu w końcu, coraz bardziej przekonana, że z tym człowiekiem naprawdę coś jest nie w porządku.

Patrzy teraz na nią, ale nie jak mężczyzna na kobietę, tylko z jakąś intensywnością, zupełnie jakby usiłował przejrzeć ją na wskroś.

A może to z nią jest, coś nie tak?!

- Gib. Proszę do mnie mówić Gib. Nawet pacjenci tak się do mnie zwracają, naturalnie ci na tyle wiekowi, że potrafią już mówić - oświadczył, odrywając wreszcie wzrok od jej twarzy. - Wiem, nie zabieram się do tego najlepiej, ale z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przespałem co najwyżej sześć i na sto procent sobą nie jestem, co tam na sto, nawet na pięćdziesiąt. Kiedy dotarło do mnie, kim pani jest... uznałem to za istny cud. Spojrzał jej w oczy.

- A w cuda nie bardzo wierzę - dodał.

- A kto wierzy? - mruknęła.

- Fakt, mało kto. Chociaż my, pediatrzy, właściwie powinniśmy. Niemal na co dzień mamy z nimi do czynienia.

- Niemowlę z obrażeniami tak rozległymi, że nie powinno go już być na tym świecie, a żyje. Nastolatka, u której przyjmuje się przeszczep szpiku. Tak, chyba powinniśmy.

- A teraz pani spada mi jak z nieba - dorzucił z uśmiechem.

Później Sophie będzie się zastanawiała, dlaczego ten błądy uśmiech wyczerpanego mężczyzny tak na nią podziałał, ale teraz patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

- Mam przez to rozumieć, że jestem cudem? - zapytała.

- Jeszcze jakim! - przytaknął i znowu się uśmiechnął, tym razem do kelnerki stawiającej przed nimi dwie filiżanki z kawą i talerzyk z makowcem dla Sophie.

- Na pewno nie chce pan nic do kawy? - spytała kelnerka, zmiatając niewidzialne okruszki ze stolika i wyraźnie mizdrząc się do Giba.

- Na pewno - odparł, ale zanim zdążył się do niej ponownie uśmiechnąć, Sophie przerwała stanowczo te umizgi przypomnieniem:

- Rozmawialiśmy o cudach.

Kelnerka posłała jej jadowne spojrzenie i z ociąganiem odeszła. Gib posłodził kawę, pociągnął łyżeczek, westchnął z rozkoszą, po czym wychylił filiżankę do dna, odstawił ją na spodek i znowu spojrzał na Sophie.

- Dwoje członków mojego zespołu - mój aktualny numer dwa, ten, którego zastąpisz, i drugoroczna rezydentka - ostatnio się zareczyło. Odbywała się zwyczajowa przy takich okazjach uroczystość, potem powrót samochodem od jej rodziców i zderzenie z ciężarówką, której kierowca zasnął za kółkiem. Od tygodnia leżą oboje w szpitalu.

Sophie zalała falą współczucia dla tej młodej pary, którą u progu wielkiej małżeńskiej przygody spotkało takie nieszczęście.

- Bardzo ucierpieli? Wyjdą z tego? Gib spochmurniał.

- Wyjdą, ale nieprędko. Petra ma w gipsie obie nogi, Pete lewą, prawe ramię i obrażenia wewnętrzne. Pęknięta śledziona...

- Czyli ubyły ci z zespołu dwie osoby - wpadła mu w słowo Sophie, domyślając się już, skąd to zmęczenie. - Ale są przecież inne zespoły, z których...

- Trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem, kiedy całe Queensland wywiewa na święta? Mój jest jedyny, w którym nikt nie poprosił o urlop.

- Jak rozumiem, z całego zespołu zostałaś tylko ty i...

- Ta drugoroczna rezydentka, Yui Lin. Dobra jest, ale daleko jej do siłaczki. Na dodatek podejrzewam, że jest w odmiennym stanie, chociaż ona się do tego nie przyznaje. Na wszelki wypadek wolę jej za bardzo nie forsować. Ty pracowałaś, będąc w ciąży?

Na rozmowie wstępnej kwestię swojego życia osobistego okroiła do niezbędnego minimum, napomykając tylko, że ma dziecko. Teraz nadarzała się okazja wyjaśnienia, kim jest dla niej Thomas, ale coś ją przed tym powstrzymywało.



- Czy mam przez to rozumieć, że chciałbyś, żebym zaczęła pracę wcześniej? - zapytała. - Bo jeśli tak, to odpowiedź brzmi „Nie”.

Obserwowała jego twarz, ale jeśli nawet sprawiła mu zawód, to on tego po sobie nie pokazał. Nie okazywał też zdziwienia, że nie odpowiedziała na jego pytanie.

Ta twarz pozostała bez wyrazu.

Jedyne, co się na niej malowało, to nieludzkie zmęczenie.

Sophie, również nieludzko zmęczoną, ogarnęło poczucie winy, że w takiej sytuacji odmawia mu pomocy.

- Można wiedzieć, dlaczego? Westchnęła.

- Przyjechałam do Brisbane wcześniej z licznymi powodów, po pierwsze po to, żeby jeszcze przed rozpoczęciem pracy załatwić Thomasowi miejsce w przedszkolu i mieć to już z głowy. Po drugie, żeby znaleźć sobie lokum, co, jak się okazuje, o tej porze roku jest niemożliwe, a po trzecie i najważniejsze, żeby znaleźć jakąś opiekunkę dla Thomasa na czas, kiedy będą mi wypadały nocne dyżury w szpitalu albo pod telefonem.

Spojrzała na Giba. Ciekawe, czy ma dzieci i rozumie, jakie to ważne znaleźć dla nich właściwą opiekunkę.

Nadal ta twarz bez wyrazu.

Może zasnął, tylko zapomniał zamknąć oczy...

- Chodzi o kogoś na stałe, bo opiekunka na przychodne problemu nie rozwiązuje. Nie będę go przecież zabierała na noce do szpitala ani jeździła z nim na wezwania, a przedszkole załatwia sprawę tylko we dnie...

- W nocy też działa - odezwał się, co znaczyło, że przynajmniej jej uważnie słucha.

- No tak, ale jak tu budzić trzylatka o drugiej nad ranem, wsadzać go do samochodu, wieźć ze sobą do szpitala i tam podrzucać do przedszkola? Potrzebny mi ktoś w rodzaju babci. Ktoś, kto z nami zamieszka, kto kocha dzieci, otoczy

Thomasa miłością i będzie mu czytał bajki. Ktoś, kto przez większość doby będzie miał czas dla siebie, a Thomasem zajmował się tylko w te wieczory i noce, kiedy ja...

Znowu westchnęła i dodała:

- Wiem, że trudno o taką osobę, ale próbować muszę, a na to trzeba czasu. Bardzo chciałabym pomóc, ale sam pan rozumie, doktorze Gibson, że to w tej chwili niemożliwe.

- Gib - przypomniał jej.

Sophie popatrzyła na niego podejrzliwie, zastanawiając się znowu, czy ten człowiek aby na pewno ma komplet działających neuronów. Ona mu opowiada o swoim problemie ze znalezieniem odpowiedniej opiekunki dla Thomasa, a on wyjeżdża ze swoim przydomkiem.

Nadgryzła makowiec i popiła łyżkiem kawy z mocnym postanowieniem, że skończy jedno i drugie, pożegna się i wyjdzie.

I nagle uświadomiła sobie, że on się do niej uśmiecha - zapierającym dech w piersiach, pełnym uśmiechem od ucha do ucha, obejmującym również oczy.

- No to możesz już nie szukać tej swojej wymarzonej babci - oznajmił. - Mam dla ciebie jak najbardziej autentyczną ciotkę Etty!

Rozparł się na krzeselku, a jego szeroki uśmiech przybrał wyraz triumfu.

- Jaką znowu ciotkę Etty?

- Ciotka Etty będzie dla was jak ulał - wyjaśnił. - Przepada za dziećmi, udziela się jako wolontariuszka w przyszpitalnym przedszkolu, a mieszkając ze mną, umiera z nudów. Ma do mnie pretensje, że jestem gościem w domu, w związku z czym nie bałaganuję i ona nie ma po kim sprzątać ani komu gotować, i czuje się z tego powodu jak piąte koło u wozu.

- Ale czy ta twoja ciotka... może ona nie chce pracować u kogoś obcego.

- Jeśli chodzi o ścisłość, to ona nie jest moja, tylko mojej żony. Posłuchaj, mam jeszcze trochę czasu. Może pojechalibyśmy do mnie, poznałybyście się, pogawędziły, a później podrzuciłbym cię do szpitala po Thomasa? Ja mam potem ważne spotkanie, ale ty mogłabyś wrócić z małym do Etty i się okaże, czy przypadną sobie oboje do gustu.

Sophie chciała zaprotestować, ale było już za późno. Doktor Gibson - alias Gib - jej nowy szef, wstawał właśnie od stolika i podawał jej ramię.

- No to szafa gra. Komu w drogę, temu czas! Po chwili Sophie siedziała już w luksusowej, ale bez przesady, limuzynie, która sunęła szosą biegnącą brzegiem szerokiej burej rzeki. Nie będę mu teraz sprawiała zawodu, pomyślała. Niech mnie wiezie do tej ciotki Etty, a że się nie zgadzam, powiem mu potem, kiedy już podrzuci mnie do szpitala.

W końcu Gib skręcił w ocieniony szpalerem drzew podjazd, na którego końcu stał dom przypominający chatkę z książki do kolorowania dla dzieci.

- Rozbudowaliśmy go w głąb, żeby nie psuć charakteru tego miejsca - wyjaśnił Gib, jakby czytając w jej myślach. - Każdy, kto po raz pierwszy widzi ten dom, dziwi się, że taki mały. A w rzeczywistości, z przybudówkami, jest dla nas o wiele za duży. Jedno skrzydło zamknęliśmy na głucho, żeby mieć mniej sprzątań.

Sophie szła za nim potulnie, zastanawiając się, czy jego żona jest w domu, a jeśli tak, to co powie, kiedy wyjdzie na jaw, że Gib na siłę wciska jakiejś obcej kobiecie jej ciotkę.

- Wchodź, wchodź! - Gib wepchnął ją przed sobą do domu. - Ciociu Etty! - zawołał. - Zobacz, co znalazłem!

Dał się słyszeć cichy pisk gumy sunącej po deskach wyfroterowanej podłogi. Etty zatrzymała wózek i spojrzała najpierw na niego, potem na Sophie, i znowu na niego.

- Kobietę! Wspaniale! Najwyższy czas. Ale coś mi się wydaje, że ona, w odróżnieniu od ciebie, nie bardzo jest tym faktem zachwycona. Może wcale się nie zgubiła?

Podjechała bliżej i wyciągnęła rękę.

- Etty Pritchard - przedstawiła się - i na wypadek, gdyby twój znalazca jeszcze ci nie powiedział, cierpię na rozszerp kręgosłupa. Dawniej poruszałam się o kulach - nadal się nimi posługuję, kiedy muszę - ale na wózku łatwiej mi i szybciej.

- To moja nowa neonatolożka, ciociu - zaczął Gib. - Szuka opiekunki dla swojego synka. Powiedziałem jej, że ty byś była idealna.

Jak mogło mu przyjść do głowy, że kobieta na wózku inwalidzkim będzie odpowiednią opiekunką dla ruchliwego chłopczyka, nie mogła się nadziwić Sophie, postępując za ciotką Etty korytarzem.

Kiedy znaleźli się w salonie, jej oczom ukazała się zachwycająca panorama z rzeką i wysokimi budynkami śródmieścia po lewej.

- Ojej!

Etty zatrzymała się i odwróciła do niej wraz z wózkiem.

- Niczego sobie widoczek, co?

- Niewiarygodne - wykrztusiła Sophie, chłonąc wzrokiem jego piękno.

- No to siadaj i się nim napawaj - powiedziała Etty - a ja skoczę po coś zimnego do picia.

Sophie, zamiast grzecznie zająć miejsce, podeszła do panoramicznego okna i zapatrzyła się na ogród opadający tarasami ku rzece.

Wróciła Etty z drinkiem. Sophie pociągnęła łyczek.

- Coś podobnego! Smakuje jak lemoniada domowej roboty. Nie piłam takiej od śmierci mojej babci.

Etty uśmiechnęła się.

- Mamy dwa drzewa cytrynowe. Oba obrodziły i mam mnóstwo owoców na lemoniadę.

- I na cytrynowe masło - wtrącił Gib, wchodząc do pokoju ze szklanką lemoniady - i na przepyszny cytrynowy pudding, i na marynowane cytryny i wszystko, co tylko można zrobić z cytryn.

Coś za bardzo mi ją zachwala, przemknęło przez myśl Sophie. Czyżby chciał jej się pozbyć?

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Ciociu Etty, przedstawiam ci moją koleżankę Sophie. Od nowego roku rozpoczyna pracę w zespole, którym kieruję. Pochodzi z Sydney, gdzie zostawiła pewnie wszystkich swoich znajomych i rodzinę. Przyjechała do nas wcześniej, żeby znaleźć sobie lokum, zapisać synka, Thomasa, do przyszpitalnego przedszkola i rozejrzeć się za kimś, kto by z nimi zamieszkał i opiekował się chłopczykiem, kiedy ona będzie na nocnym dyżurze albo na dyżurze pod telefonem. Kiedy mi to opowiadała, od razu pomyślałem o cioci!

Etty popatrzyła na niego wymownie.

- Nie owijaj w bawełnę, Gib! Pomyślałeś sobie pewnie: „Cudownie, oto niebo zsyła mi kogoś, kim można by przytknąć dziurę po leżących w szpitalu Pecie i Petrze, wystarczy tylko zorganizować tej osobie opiekę nad synkiem, żeby mogła jak najszybciej, najlepiej jeszcze dzisiaj, podjąć pracę”.

Sophie omal nie parsknęła śmiechem na widok obruszonej miny Giba. Ten się jednak szybko opanował i nawet uśmiechnął.

- Coś w tym rodzaju - przyznał - ale pozwól sobie, ciociu, przypomnieć, jak się skarżyłaś na nudę i brak zajęcia. A czy można sobie wyobrazić coś bardziej zajmującego niż trzyletni chłopczyk?

Etty odwzajemniła jego uśmiech, a Sophie nie miała już wątpliwości, że tych dwoje, choć nie łączą ich więzy krwi, darzy siebie silnym afektem.

Może to jednak nie była próba pozbycia się z domu ciotki Etty, może on naprawdę chce jej pomóc?

- Przyciągnąłeś tu Sophie siłą, zgadłam? - zarzuciła Gibowi ciotka. - Jeśli tak, to wiedz, że postawiłaś ją w bardzo niezręcznej sytuacji. Może ona nie chce, żeby ktoś taki jak ja - w tym wieku, tej płci, czy co tam jeszcze - zajmował się jej synkiem, ale teraz krępuje się mi powiedzieć, że nie spełniam

jej oczekiwań, bo nie chce, żebym sobie pomyślała, że to z powodu mojego inwalidzkiego wózka.

- Co ciocia z tym wózkiem?! - zaperzył się Gib, a Sophie przyznała mu w duchu rację.

Jak można uważać za kalekę kobietę, która zajmuje się na co dzień takim dużym, trzypoziomowym ogrodem? Wigoru mogłaby jej zapewne pozazdrościć niejedna pełnosprawna kobieta w jej wieku.

No i robi wyborną lemoniadę.

- Myślę, że problem nie w tym, czy ja chcę panią zatrudnić, lecz w tym, czy pani byłaby skłonna poświęcić mi swój czas. Widzę, że jest tu pani zadomowiona, zajmuje się ukochanym ogrodem. My wynajmujemy na razie obskurne mieszkanie w mieście i nie ma nadziei, żebyśmy w ciągu najbliższych sześciu tygodni znaleźli sobie coś sympatyczniejszego.

- Nieważne, gdzie mieszkanie. Masz jakieś specjalne wymagania wobec osoby, która miałaby się opiekować twoim synkiem? Ma na imię Thomas?

- Owszem - przyznała Sophie, pewna już, że ma taką osobę przed sobą. - Chodzi mi o kogoś w rodzaju babci, kogoś pełnego ciepła, kto go od serca przytuli i nie da się wyprowadzić z równowagi milionami pytań, którymi sypią jak z rękawa mali chłopcy. Kto rozumie małych chłopców i ma do nich cierpliwość. Etty wyciągnęła do niej obie ręce.

- Jeśli nie przeszkadza ci, że poruszam się na wózku, to znalazłaś taką osobę - powiedziała. - Gib miał rację, mówiąc, że się nudzę. Dobrze się czuję i potrzeba mi nowych wyzwań. A jeśli nadal masz wątpliwości, czy sobie poradzę, to zapytaj w przyszpitalnym przedszkolu, oni je tam rozwieją.

- Tak czy owak, ostatnie słowo będzie należało do Thomasa, prawda? - wtrącił Gib. - Nie wiadomo, czy nie spieszy go ten wózek? Czy Etty mu się spodoba? Może niech

jedzie po niego z nami. Albo lepiej zrobmy tak, jak wcześniej proponowałem. Odbierzesz chłopca z przedszkola, wrócisz z nim tutaj i niech spędzą ze sobą trochę czasu. Mały na pewno chętnie się wykąpie.

Sophie zerknęła na rzekę, która choć piękna, była wręcz brunatna. Ety przechwyciła to spojrzenie i roześmiała się radośnie.

- Na dole jest basen. Z rodzaju tych kryto - odkrytych, żebym mogła w nim pływać przez okrągły rok.

Gib spojrział w stronę niewykorzystywanego skrzydła domu. Czy to wypada mieszkać pod jednym dachem z koleżanką z pracy? I na dodatek taką atrakcyjną? Co by ludzie powiedzieli?

Dotknął ukradkiem palcami prawej ręki obrączki ślubnej i zaczął ją obracać. Zsunęła się kawałek i zaklinowała na kłykcium. Ciekawe, czy zejdzie, jeśli kiedykolwiek będzie ją chciał zdjąć?

„Pożyjemy, zobaczymy”, odburknął Etcie, kiedy spytała, czy to w końcu robi.

Ale to było przed czterema laty...

W drodze do szpitala Etcie buzia się nie zamykała. Pokazywała co okazalsze z domów, które mijali, i sypała nazwami podmiejskich ulic, którymi przejeżdżali. Sophie słuchała tej paplaniny jednym uchem, bo zajęta była wpatrywaniem się w potylicę Giba. Wziął w domu prysznic, ogolił się i bardziej teraz przypominał mężczyznę, który przeprowadzał z nią rozmowę kwalifikacyjną, ale przydługie, wilgotne jeszcze włosy podkręcały mu się lekko na karku i te drobne kędziorki przyciągały wzrok Sophie z jakąś magnetyczną siłą, której nie sposób było się przeciwstawić.

Kędziorki, czy raczej ten mężczyzna, ich właściciel?

Bój się Boga, tyle niezalutowanych jeszcze problemów, a tobie mężczyźni w głowie?!



I na dokładkę żonaci!

Zapomniała się i mimowolnie westchnęła.

Gib zaparkował przed budynkiem przedszkola i wysiadł, żeby wyjąć z bagażnika wózek Etty. Rozłożył go i podstawił pod tylne drzwi..

Sophie patrzyła z podziwem, jak Etty wprawnie przesiada się z jednego środka lokomocji na drugi, a potem odwróciła się, żeby... no właśnie, żeby co? Podziękować Gibowi?

Na szczęście on przejął inicjatywę.

- Porozmawiamy później - powiedział, ściskając jej dłoń. Etty toczyła się już na swoim wózku w kierunku przedszkola, a Sophie, nadał nie rozumiejąc, dlaczego ten uścisk dłoni tak ją rozkojarzył, patrzyła, jak jej nowy szef wsiada do samochodu i odjeżdża.

- Ach, doktor Fisher, a taką miałam nadzieję, że się pani spóźni! - Tym dziwnym komentarzem przywitała Sophie młoda wychowawczyni grupy Thomasa, Vicki, i szybko wyjaśniła: - Odwiedził nas dzisiaj jeden z elfów Świętego Mikołaja i ta wizyta trochę się przeciągnęła. Thomas wytrzymał do końca imprezy, ale niedawno zmorzył go sen. Obudzić go, czy woli pani poczekać, aż sam się obudzi? Może tymczasem podam kawę?

Sophie odwróciła się do Etty, żeby spytać, co ona na to, ale Etty gawędziła już w najlepsze z kierowniczką przedszkola.

- Idź na kawę - doradziła jej Etty. - Wpadam tu od czasu do czasu, żeby popracować społecznie i większość dzieci dobrze mnie zna. Zostanę, pobawię się ze szkrabami i może zapoznam się z Thomasem, kiedy się obudzi.

Sophie rozejrzała się bezradnie. Odnosiła wrażenie, że życie wymyka jej się spod kontroli.

Czy kawa jej pomoże?

Nie wiedziała, gdzie jest stołówka, ale pamiętała, że kiedy była tu na rozmowie kwalifikacyjnej, widziała małą kafejkę w holu szpitala.

Czy zapamiętała również drogę na Oddział Intensywnej Terapii Noworodków? Tam bardziej wypadałoby zajrzeć. Nie, nie zamierza ulec potulnie naciskom doktora Gibsona i rozpocząć pracę wcześniej, niż to przewiduje kontrakt. Pomyślała sobie po prostu, że widok tych biednych dzieciaków mógłby jej pomóc w pozbieraniu myśli - sprowadzić z obłoków na ziemię. Miała już identyfikator pracownika szpitala, wyrobiła go sobie zawczasu, bo bez niego nie mogłaby umieścić Thomasa w przedszkolu. Tak, odwiedzi OITN i obejrzy leżących tam małych pacjentów.

Gib przeniósł wzrok z karty choroby na maleńkiego Andrew Atkinsa cierpiącego na zespół niewydolności oddechowej.

- Czy nie przyczynił się do tego stan przedrzucawkowy, w którym znajdowała się matka w ostatnim okresie ciąży? - spytał Albert, pielęgniarz, który go tu wezwał.

Gib pokręcił głową.

- Stan przedrzucawkowy u matki uważa się za jeden z czynników, które wręcz chronią wcześniaki przed zapadnięciem na zespół niewydolności oddechowej - wymruczał bardziej do siebie niż do Alberta. - Ale co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Teraz martwi mnie, że mimo naszych wysiłków z Andrew zamiast coraz lepiej, jest coraz gorzej. Nadal ma trudności z oddychaniem, co wpływa niekorzystnie na pracę serca...

- Może wdała się jakaś infekcja? - wpadł mu ktoś w słowo.

Gib obejrzał się i ściągnął brwi na widok kobiety, która za nim stała.

- A gdzie Thomas?

- Śpi.

Gib wykonał nieokreślony ruch głową, który nie wiadomo co miał oznaczać. Czy że przyjmuje to wyjaśnienie do wiadomości, czy też że mało go obchodzi, co dzieje się z Thomasem, i zajmuje się tylko noworodkiem.

- To Andrew. Ma zespół niewydolności oddechowej, i, jak widzisz, jest wciąż pod tlenem, ale jego stan się nie poprawia, chociaż próbowaliśmy już wszystkiego. Badania krwi pod kątem infekcji od siedemdziesięciu dwóch godzin dają wynik negatywny.

Sophie podeszła bliżej i spojrzała na dziecko - małą kruszynkę, która zmieściłaby się jej na dłoni. Korciło ją, by dotknąć maleństwa, ale nie umyła rąk. Weszła tu tylko, żeby się rozejrzeć.

Wzięła zdjęcia rentgenowskie z wózka stojącego obok inkubatora i uniosła je pod światło.

- Odma opłucnowa? - spytała, przenosząc wzrok na Giba, który patrzył na nią wciąż jak na przybysza z kosmosu.

- To samo sobie pomyślałem... Dlatego właśnie wezwałem Giba - wtrącił pielęgniarz - ale pewny nie jestem.

- Albert, to Sophie Fisher, nasza nowa neonatolog, która w styczniu dołączy do zespołu. Próbuję ją nakłonić, żeby rozpoczęła pracę wcześniej, ale wygląda na to, że... - tu zawiesił głos i uśmiechnął się do Sophie - że chyba nic z tego nie będzie.

Wskazał ruchem głowy na dziecko.

- Chyba będziemy mu musieli zaaplikować wysokoczęstotliwościową wentylację. Wstrzymałem się z tym do tej pory, bo mimo wszystko, chociaż z trudem, dziecko oddycha samodzielnie, a kiedy przyzwyczai się do respiratora, to trudno go będzie potem od niego odzwyczaić. Ale innego wyjścia nie widzę.

Zwrócił się do Sophie:

- Może zostałabyś przy Andrew do czasu, aż Albert przygotuje co trzeba? Ja wyskoczyłbym do Atkinsów i powiedział im, jak się sprawy mają. - Zerknął na zegarek. - Już piętnaście minut, jak ich stąd wyprosiliśmy. Pewnie się niepokoją.

- Niepokoją? Odchodzą od zmysłów - mruknęła Sophie do Alberta, gdy wychodził.

Wiedziała z doświadczenia, co przeżywają rodzice wcześniaków i noworodków z niedowagą, kiedy okazuje się, że nie mogą ich zabrać od razu do domu.

Wracała do przedszkola, układając sobie w myślach plan zajęć na resztę dnia: odbierze Thomasa, odwiezie Ette, a potem wróci do swojego wynajmowanego mieszkania i postara się przedłużyć umowę najmu na kolejny tydzień.

Etta czytała bajkę grupce dzieci siedzących po turecku przed jej wózkiem. Zaszuchany Thomas siedział w pierwszym rzędzie. Chłopczyk podniósł wzrok na wchodzącą Sophie i uśmiechnął się promiennie.

- Ciocia Etty czyta bajkę - oznajmił. - Musimy już iść? Bo ja bym chciał posłuchać do końca.

Już jest dla niego ciocią Etty?

- Dosłuchamy do końca - powiedziała Sophie, siadając obok niego na podłodze.

Etty czytała jak zawodowa aktorka, podkładając inny głos pod każdą z postaci - misia koala, kangurka i starą mądrą sowę - Sophie zaś uśmiechnęła się w duchu, bo przyszło jej do głowy, że to dla Etty coś w rodzaju rozmowy... nie, raczej przesłuchania kwalifikacyjnego. Ciekawe, czy Etty też tak do tego podchodzi.

Bajka dobiegła końca, Sophie wstała i pomogła podnieść się Thomasowi.

- Odwieziemy teraz ciocię Etty do domu - powiedziała, a chłopcykowi oczyomal nie wyskoczyły z orbit z zachwytem.

- Naprawdę? Fajowo! Ona ma chore nogi i dlatego jeździ na wózku, ale dzieciom daje czasem na nim pojeździć. Mnie też pozwoli, jak ją odwieziemy?

Sophie nie odpowiedziała.

Etty jechała już w stronę półek, by odstawić na miejsce książkę z bajkami, a jej przemknęło przez myśl, że lepiej, żeby nie doszło do takiej przejażdżki.

Bo gdyby Thomas uległ jej urokowi, to chcąc, nie chcąc, musiałyby ją zatrudnić, a zdecydowana jeszcze nie była.

Kiedy wracali naderzeczną szosą, zadzwonił telefon komórkowy. Etty pogrzebała w kieszeni sukienki i odebrała. Z początku rozmawiała wesoło, potem do jej głosu zaczęło wkradać się z wątpienie.

- Dobrze, zapytam ją - powiedziała w końcu i rozłączyła się. - To był Gib - wyjaśniła, ale Sophie zdążyła się już tego domyśleć. Podejrzewała także, że pytanie mogło dotyczyć zatrzymania jej na kolację. - Chciał ci zaproponować, żebyś...

Etty urwała, Sophie zaś, skręciwszy z ruchliwej ulicy w przecznicę, przy której mieszkali Gib z Etty, zerknęła na nią.

- Mów, nie krepuj się - zachęciła staruszkę, skręcając znowu, tym razem w podjazd prowadzący pod dom.

- Gib chciał ci zaproponować... bo podobno masz problemy z zakwaterowaniem... żebyś zamieszkała u nas.

Sophie popatrzyła na domek z przybudówkami przysłoniętymi gęstwiną rozciągającą się na tyłach ogrodu.

- Zamieszkać tutaj? Z nim? Skąd, u licha, ten pomysł?

- Niezupełnie z nim - skorygowała czym prędzej Etty. - Skrzydło, z którego nie korzystamy, to samowystarczalne mieszkanie z dwoma sypialniami. Gib dobudował je dla mnie, kiedy się tu sprowadzałam, ale kiedy przed czterema laty zmarła Gillian, nie mógł sobie znaleźć miejsca w swojej części domu, więc przeniosłam się do niego, a moje skrzydło zamknęliśmy. Często napomykał, że można by je wynająć

komuś statecznemu. Ty byś była idealna na takiego sublokatora.

Gillian umarła?

Gillian, jego żona?

Cztery lata, a on wciąż nosi obrączkę?

Musiał ją bardzo kochać...

Etty opowiadała dalej o kuchni, łazience i osobnym bocznym wejściu, ale Sophie doszła już do wniosku, że przystanie na tę ofertę nie byłoby najlepszym posunięciem.

- To bardzo kusząca propozycja, ale nie mogę jej przyjąć.

- Ale jeśli to domek cioci Etty, to tam jest basen - wtrącił się Thomas. - Ciocia Etty nam opowiadała. Ja bym chciał tu mieszkać.

Znowu zadzwonił telefon Etty. Tym razem rozmowa, przynajmniej po tej stronie połączenia, była bardziej monosylabowa. Dwa „nie”, jedno „tak”, jedno „dobrze” i koniec.

- Gib mówi, że mogłabyś chociaż spróbować. Przemieszkać u nas z miesiąc, dwa, dopóki nie znajdziesz sobie innego lokum. Przez ten czas poznasz miasto i zorientujesz się, gdzie najlepiej szukać czegoś do wynajęcia.

- Nie wydaje mi się, żeby... - zaczęła Sophie, ale Thomas podskakiwał już na tylnym siedzeniu i wrzeszczał:

- Zgódź się, Sophie, zgódź! Ciocia Etty czyta najładniejsze bajki!

Sophie spojrzała na chłopczyka, który tyle już w życiu stracił. Zobaczyła błękitne oczy Hilary i falujące jasne włosy. Kolor odziedziczył po Hil, ale ta falistość pewnie pochodzi od ojca. Zaczynała się łamać.

Jeśli Thomas tak chce tu zamieszkać, to jak mu tego odmówić?

- No nie wiem, może to jest jakiś argument... - powiedziała z wahaniem. - Ale tylko na jakiś czas, dopóki nie znajdziemy mieszkania dla siebie.

- Z basenem? - zapytał. Kiwnęła głową.

- Z basenem - obiecała.

Ale chlapnęłam! Ale chlapnęłam! Westchnęła ciężko, wysiadła i otworzyła bagażnik. Wytaszczyła z niego wózek Ety i rozłożyła go przy drzwiach samochodu. Potem patrzyła, jak jej mały podopieczny sadowi się na kolanach Ety i odjeżdża z nią w stronę domu.

Od rana zbierało się na burzę, która teraz wreszcie nadciągnęła. Błyskawice rozpruwały właśnie ciemne chmury zygzakowatymi, jaskrawymi ostrzeżeniami, grzmiało.

Czyżby ktoś próbował dać jej jakiś znak?

Gib stał przy inkubatorze Andrew Atkinsa i patrzył z z troskaniem na małego pacjenta. W kieszeni zawibrował pager. Spojrzał na wyświetlacz.

Dzwoniono z telefonu komórkowego, ale nie znał tego numeru.

Nie teraz, pomyślał, ale jeśli temu komuś podano numer jego pagera, to musi to być coś nie cierpiącego zwłoki. Wyszedł z sali, by oddzwonić ze swojego gabinetu.

- Sophie Fisher, słucham.

Sophie Fisher wywołuje go przez pager?

- To ja, Gib. Szukałaś mnie?

- Tak. Przyszło mi coś do głowy w sprawie tego maluszka, Andrew mu na imię, prawda? Pewnie już to sprawdzaliście i robicie na bieżąco analizy krwi i moczu, ale widziałam niedawno noworodka z rzadko spotykaną negatywną reakcją na furosemid, wiesz, ten lek moczopędny, a wyczytałam w karcie, że mu go podajecie. Poziom wapnia dwudziestokrotnie przekracza u niego normę, a zaburzenia metabolizmu...

- Sophie, ratujesz pędrakowi życie! Chyba inaczej nie da się tego określić. Już sprawdzam. Oddzwonię.

Oddzwonił późnym wieczorem i zmęczonym, ale triumfującym głosem oznajmił:

- Miałaś rację. Nie spotkałem się dotąd z czymś takim, a przecież musi być to gdzieś opisane. Nie najlepiej to o mnie świadczy.

- Nikt nie jest omnibusem. A do tego pracowałeś ostatnio za trzech.

- To nie jest wytłumaczenie - fuknął.

- Wracaj do domu, Gib, i prześpij się - powiedziała łagodnie, a jemu przed oczami stanęła jej twarz: szare zamglone oczy, prosty nos i zmysłowe usta, pasemka czarnych włosów. Nawet atrakcyjna...

Ale kiedy się uśmiechnie...

- Gib?

- Przepraszam, ale lecę z nóg. Aha, dzwoniła Etty. Podobno wprowadzasz się do nas. Czy to znaczy, że akceptujesz ją jako opiekunkę dla Thomasa... że zaczniesz wcześniej pracę? Pomożesz?

Cisza, a potem ciche, niezdecydowane:

- Tak.

- Wspaniale...

- Ale najpierw musimy porozmawiać o grafiku i porach dyżurów. Uprzedzam z góry, że piątki mam zajęte i nic na to nie poradzę.

- Jakoś to zorganizujemy - obiecał Gib. - Lepiej, żebyś pracowała przez kilka dni w tygodniu niż wcale. Powiedz tylko, kiedy chcesz zacząć, a ja już wszystko ustawię tak, żeby ci pasowało.

Był tak uradowany, że dopiero po chwili przebiły się do jego świadomości nutki napięcia i smutku w jej głosie.

- Czy te zajęte piątki... Mógłbym w czymś pomóc?



Cisza, a potem:

- Nie - wypowiedziane zduszonym szeptem. Trzasnęła odkładana słuchawka, a on siedział jeszcze przez dłuższy czas wpatrzony w telefon.

Mógłby przysiąc, że usłyszał szloch.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Wszystko gra? - spytał, wchodząc do kuchni, po której krzątała się Etty, przygotowując dla niego kolację.

- Masz na myśli Sophie i Thomasa? Chyba tak, chociaż wyczuwam, że Sophie nie jest tym układem zachwycona aż tak jak Thomas. Co całkiem zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że zamieszkała pod jednym dachem ze swoim szefem, którego na dobrą sprawę nie zna.

Urwała i jakby się zawahała, co nie było do niej podobne, bo Etty mówiła zawsze prosto z mostu, co miała do powiedzenia.

- Musimy porozmawiać - podjęła po chwili, stawiając przed nim talerz. - O tym układzie.

Jeszcze jedna chwila zawahania i:

- Zaprosiłam tu Sophie na dziewiątą. Pomyślałam sobie, że usiadziemy we trójkę i podsumujemy.

Kolacja - pieczony kurczak w sosie curry, jedna ze specjalności Etty - nagle przestała mu smakować.

- Co podsumujemy?

- Moją sytuację! Mieszkam u ciebie i za utrzymanie odpłacam ci się gotowaniem, robieniem zakupów i sprzątaniami, ale skoro mam teraz pracować u Sophie, to chyba przechodzę na jej utrzymanie, prawda? Czyli tobie powinnam zacząć płacić za pokój i może znaleźć kogoś, kto poprowadziłby ci dom. Gdybyś chciał, żeby taki ktoś tu zamieszkał, to mogę się przenieść do nich. Sophie mówi, że przywykli z Thomasem do mieszkania w jednym pokoju, i ten drugi mogą mi odstąpić.

- Przecież...

Gib nie zdążył wyartykułować swojego protestu, bo w tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi oddzielających dom od przybudówki.

Etty zawołała, że otwarte, i do kuchni weszła Sophie w białym T-shircie oraz białej, zwiewnej spódnicy.

- Etty mnie zaprosiła - bąknęła nieśmiało.

- Nie przesadzaj z tym pukaniem - obruszył się Gib. - Jesteście tu zawsze mile widziani.

Pokręciła głową.

- Nie wiesz, co mówisz - powiedziała z półuśmiechem. - Mali chłopcy potrafią w pięć minut zabałaganić zabawkami każde pomieszczenie. Nie wiem, jak im się to udaje, ale się udaje.

- Siadaj - zakomenderowała Etty. - Gib niech kończy kolację, a ja tymczasem zaparzę kawę. Zajmij miejsce przy oknie. Popatrzyś sobie na żaglówki wypływające na rzekę wieczorową porą i na City Cats - promy kursujące tam i z powrotem między śródmieściem i przedmieściami. Jeśli nie masz na jutro

żadnych planów, to możemy się takim promem przejechać. Thomas byłby zachwycony. Wzięłabyś kostium kąpielowy i zeszlibyśmy na ląd na południowym brzegu. Jest tam piękna plaża ze strzeżonym kąpieliskiem. Możemy też zabrać prowiant i wybrać się na piknik do New Farm Park.

Sophie usiadła.

- Ja mam inną propozycję, ciociu Et - odezwał się Gib. - Ciocia popłynie promem z Thomasem, a ja zabiorę Sophie na zapoznawczą wycieczkę po szpitalu. W poniedziałek zaczyna pracę i nie będzie na to czasu, jutro jest ostatni dzwonek.

Sophie otworzyła usta, by zaprotestować, ale szybko z powrotem je zamknęła. Przydałoby się zapoznać z rozkładem szpitala, w którym ma pracować.

- Nie widzę przeciwwskazań - powiedziała Etty. Gib się roześmiał.

- I ciocia mi zarzuca, że nie liczę się z ludźmi - powiedział - a tymczasem oboje próbujemy narzucać Sophie

rozkład dnia. Jeśli chcesz spędzić tę niedzielę z Thomasem w domu, Sophie, to powiedz.

- Rzeczywiście powinnam się poczuć ubezwłasnowolniona - rzekła z uśmiechem Sophie - ale tak naprawdę to potrzeba mi kogoś, kto by mi mówił, co mam robić. Niedawno musiałam podjąć życiową decyzję, potem sprzedać dom, spakować się, zorganizować przeprowadzkę. Gdyby ktoś to za mnie pozłatwiał... - Urwała. Za wiele już powiedziała.

- Byłoby fajnie - dokończyła za nią Etty, podjeżdżając z tacą, a której stał dzbanek z kawą, trzy filiżanki i talerzyk ze świeżo upieczonym piernikiem.

- Przez cały dzień pomagałaś mi z wnoszeniem rzeczy. Kiedy zdążyłaś upiec ten piernik? - zdumiała się Sophie.

Etty uśmiechnęła się.

- Potrafię zajmować się kilkoma rzeczami naraz i o tym właśnie chciałam z wami porozmawiać. Gib, słyszysz?

Gib wstał od stołu i podszedł do nich.

- Pomyślałam sobie, że moglibyście się mną podzielić - zaczęła Etty. - Zostałabym tutaj, po tej stronie domu, i zaglądała do Thomasa nocami, kiedy Sophie będzie na dyżurze albo wyjedzie na wezwanie, opiekowałabym się nim popołudniami, kiedy wróci z przedszkola, nawet bym wozila go tam i odbierała, kiedy ty nie będziesz mogła, Sophie. Ale kiedy będziesz w domu, usunę się z drogi, żebyś mogła побыć z nim sam na sam, sama go wykąpać, zrobić mu kolację, położyć do łóżka. A ja tymczasem przygotuję kolację dla nas trojga, bo czemu nie miałabyś jeść jej z nami, kiedy Thomas już zaśnie, albo tylko ze mną, jeśli Giba nie będzie?

Etty zawiesiła na chwilę głos, a Sophie tak zmroziła perspektywa cowieczornego spożywania kolacji z szefem, że odebrało jej mowę.

- Naturalnie - podjęła Etty - gdybyś wróciła później, to Thomasa nakarmię w pierwszym rzędzie. Gibowi kolację zawsze zdążę zrobić, a jak by już był w wielkiej potrzebie, to wyżywi się sam. Niezły jest w kuchni.

Sophie odzyskała wreszcie głos.

- Nie muszę jadać z wami co wieczór. Własne towarzystwo w zupełności mi wystarcza.

- Zważywszy sytuację w szpitalu - odezwał się Gib - wątpię, żeby tych wspólnych posiłków było wiele. Jak nie jedno, to drugie z nas będzie zawsze na dyżurze albo pod telefonem, ale rozumiem, że chciałabyś zachować trochę prywatności, możemy się więc umówić, że Etty będzie przygotowywała ci kolację, kiedy będziesz w domu, a ty zjesz ją z nami albo sama, wedle uznania.

On tak samo jak ja nie chce tej sztucznej zażyłości, uświadomiła sobie Sophie. Etty rozlała kawę do filiżanek i odjechała, tłumacząc, że musi gdzieś zadzwonić. Sophie upiła łyżeczek, sięgnęła po kawałek piernika i zapatrzyła się na widok za oknem.

- Zazwyczaj w niedziele jeżdżę do szpitala na ósmą - odezwał się Gib. - Nie za wcześnie dla ciebie?

Sophie spojrzała na niego z uśmiechem.

- Od razu widać, że nie mieszkałeś nigdy z trzyletnim dzieckiem. Thomas budzi się z kurami.

- Znaczący budzik ci niepotrzebny? - zapytał z uśmiechem, na widok którego ciarki przeszły jej po krzyżu, a w brzuchu zamrowiło.

- Nnno... nie! - zdołała wykrztusić.

- Fajnie, więc jutro jedziemy na ósmą, dobrze? Moim samochodem. Zresztą i tak masz dyżur. Oprowadzę cię po szpitalu, przedstawię weekendowemu personelowi i dam czas na aklimatyzację.

- A co z małym Andrew? Bezpieczne pytanie.

- Zmieniliśmy mu lek moczopędny. Nie odstawiliśmy go zupełnie z uwagi na wodę w płucach. Wystarczył jeden dzień i jego stan się poprawił. Czy to zostało gdzieś opisane? Ten przypadek negatywnej reakcji, o którym mówiłaś?

- Nie wiem...

Urwała, bo przed oczami stanęła jej Hil - wtedy w szóstym miesiącu ciąży - wracająca do domu z informacją, że ma raka piersi.

- Mój szef prosił, żebym to zrobiła, ale...

Mów, mów, ponaglała się w duchu, ale nic z tego. Krtań zatykała wielka gula. Wielkie nieba! Dlaczego przytrafia jej się to właśnie teraz? Na oczach nowego szefa! O jasna cholera, łzy napływają do oczu. Uniosła rękę i otarła je opuszkami palców.

- Ale nie zrobiłam - podjęła. - W moim życiu wiele się wtedy działo.

W jej życiu wiele się działo? Sądząc po tych łzach, nie było to nic przyjemnego. Ciekawe co? Gib zapragnął dowiedzieć się czegoś więcej o tej kobiecie, z którą zetknął go los.

Ale przecież nie zapyta...

- Dlaczego twój szef sam tego nie zrobił, albo nie zlecił opisania tego przypadku komuś innemu? To był jego obowiązek!

- Pewnie miał inne rzeczy na głowie - powiedziała cicho i zmieniła temat, pytając o procedury postępowania z wcześniakami.

- Mamy jedną salkę porodową przeznaczoną specjalnie dla nich. W odbieraniu wcześniaków i noworodków z niedowagą bierze udział cały zespół. Te poniżej trzydziestego tygodnia, albo ważące mniej niż kilogram, bezwzględnie intubujemy, stosujemy zewnętrzny masaż serca i tak dalej,

krótko mówiąc, nie wypuszczamy noworodka z sali porodowej, dopóki jego stan nie jest ustabilizowany...

Rozmawiali jeszcze czas jakiś o sprawach zawodowych, potem powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się do swych sypialni.

Gdy nazajutrz wyjeżdżali do szpitala, Thomas pływał w basenie z Etty zaopatrzoną w listę jego upodobań i awersji oraz przykazanie, żeby przed wyjściem na dwór koniecznie zakładała mu czapkę, choćby rękami i nogami się przed tym bronił.

- Jesteś wyraźnie niespokojna. Nigdy nie zostawiałaś go z opiekunką do dzieci? - spytał Gib w drodze do szpitala.

- Owszem, niepokoję się, ale bardziej o Etty. On potrafi dać do wiwatu.

- O ile znam Etty, to nie z nią te numery. Tak chciała, żebyśmy mieli...

Urwał tak raptownie, że Sophie spojrzała na niego zdziwiona. Zobaczyła klasyczny profil - wysokie czoło, prosty nos, wydatna szczęka, ciemne włosy przetykane pasemkami siwizny, podwijające się na karku, dopominające się na gwałt fryzjera.

Wyczuł jej wzrok i też na nią spojrzał. W jego oczach malował się smutek.

- Etty powiedziała mi, że twoja żona umarła - zaczęła ostrożnie Sophie. - Choroba, czy jakiś wypadek?

Milczał. Sophie odniosła wrażenie, że przekroczyła jakąś niewidzialną granicę, którą on chciał się od niej odseparować. Po chwili, kiedy miała zamiar już podjąć jakiś bezpieczny zawodowy temat, odezwał się cichym głosem:

- Zginęła w zderzeniu z ciężarówką na północnej nadbrzeżnej autostradzie. Próbuję sobie wmawiać, że to był wypadek, jednak jeśli mam być szczery, to podejrzewam, że z rozmysłem odebrała sobie w ten sposób życie. Cierpiała na

depresję maniakalną, ale wszystko było pod kontrolą... dopóki nie przestała brać leków.

Te ostatnie słowa wymruczał pod nosem, a Sophie domyśliła się, że nie były przeznaczone dla jej uszu. Ból w jego głosie był tak samo dojmujący jak ten, który dostrzegła wcześniej w jego oczach. Musiał ją bardzo kochać. Gillian miała na imię, Etty tak powiedziała...

Skęcili na teren szpitala, potem w bramę wielopoziomowego parkingu i zaczęli się piąć pod górę ślimakiem.

- Widzisz tamtą tabliczkę ze swoim nazwiskiem? - odezwał się Gib jak gdyby nigdy nic. - To twoje miejsce parkingowe.

Owszem, widziała tabliczkę, ale psychicznie nie potrafiła się tak szybko przestawić. Nadal myślała o kobiecie, która w rozpaczliwym dążeniu do uwolnienia się od dręczących ją fobii doprowadziła do kolizji z ciężarówką.

- Tymi drzwiami wchodzi się bezpośrednio z parkingu na nasz oddział.

Wprowadził ją do korytarza, w którym jeszcze nie była.

- Po tej stronie są gabinety, między innymi twój, ale musimy jeszcze usunąć z niego rzeczy Pete'a. Porozmawiam z nim o tym, a jutro Marilyn się tym zajmie. Tu jest pokój lekarzy pierwszego kontaktu. Korzystają z niego konsultanci, kiedy tu przebywają. Po drugiej stronie mamy laboratorium i mały pokój zabiegowy.

- Czytałam o waszym zespole kardiochirurgów niemowlęcych. Podobno mają do dyspozycji osobny oddział?

Gib kiwnął głową, otwierając drzwi i wpuszczając ją do poczekalni.

- Na tym samym piętrze, ale po drugiej stronie wind. A oto nasze królestwo: poczekalnia, rejestracja, dwa gabinety lekarskie i archiwum. Mamy sekretarkę, pielęgniarkę i



Marilyn, rejestratorkę. To ona pilnuje, żebyśmy we właściwym czasie znajdowali się na właściwych miejscach. Sekretarki przychodzą i odchodzą, ale Marilyn jest tutaj od czasu, kiedy rozpoczynałem pracę na internecie, a wiele wody upłynęło w rzece od tamtego czasu.

- Ile masz lat?

Nie chciało jej się wierzyć, że o to zapytała. Na twarzy Giba też odmalowało się zaskoczenie.

- Przepraszam, to nie moja sprawa - wybąkała, ale zaskoczenie już z twarzy Giba zniknęło i zastąpił je uśmiech.

- Za to ja wiem, ile lat masz ty. Wyczytałem to z twojej aplikacji.

Sophie dziękowała Bogu, że nie ma skłonności do rumienienia się, bo przy tym poziomie zażenowania byłaby już chyba czerwona jak burak.

- Nie muszę tego wiedzieć, tak mi się wyrwało... Myślałam...

- Mam czterdzieści dwa lata - odparł poważnie, chociaż po jego wargach nadal błąkał się uśmiech. - Z twojego punktu widzenia to dużo, czy tak sobie?

Sophie wyczuła w tym pytaniu jakiś podtekst. Czyżby próbował wysondować, czy uważa go za staruszkę?

- Dobrze się trzymasz jak na swój wiek - zapewniła go - ale jeśli to tylko pozory, to na parterze widziałam dobrze zaopatrzoną aptekę i niezły asortyment lasek.

- Zalotnica z ciebie! - Trącił ją lekko w ramię.

Uśmiechnęła się do niego. Wiedział, że powinien odwzajemnić ten uśmiech, ale ślubna obrączka zacisnęła się mocniej na palcu i jego praktyczne ego zapytało, jak mógł się dać wciągnąć w te przekomarzania. Nie dość, że będzie musiał pracować z tą kobietą, która staje się taka piękna, kiedy się uśmiecha, to ona na dodatek u niego mieszka!

Jak mógł do tego dopuścić?

Od dawna nie ciągnęło go do kobiet i myślał, że ma to już z głowy, że jest już uodporniony na ich wdzięki.

Musiała wyczuć jego zmianę nastroju, bo zapytała:

- Kontynuujemy obchód?

- Tak, kontynuujemy.

Otworzył drzwi i poprowadził ją następnym korytarzem do umywalni.

- Oddział był początkowo przewidziany dla sześciu noworodków, później przebudowaliśmy go, żeby mieścił dziesięcioro maluchów naraz. W tej chwili leży ich tu dziewięcioro. Andrew już widziałaś, reszta ma się dobrze, z wyjątkiem malej Mackenzie Kennedy.

- Co jej dolega?

- Niedrożność jelit.

- Miała już operację?

- Jest na to za mała. Na razie odsysamy płyny i powietrze z żołądka i karmimy ją dożylnie.

Gib zatrzymał się przy inkubatorze. Obok siedziała blada kobieta z ręką wsuniętą przez otwór w ścianie urządzenia. Gładziła palcem malutką, bezwładną dłoń dziecka.

Gib przedstawił ją jako Marię Kennedy. Sophie pochyliła się nad inkubatorem i spojrzała na maleństwo leżące na ciepłym materacyku na wznak, z rozrzuconymi rączkami i nóżkami, prawie niewidoczne pośród rurek i przewodów aparatury monitorującej. Przeniosła wzrok na Marię.

- Reaguje na dotyk?

- Tak jakby wyczuwała moją obecność, kiedy położę obok niej rękę - powiedziała cicho Maria.

W tym momencie przezroczyście powieki Mackenzie uchyliły się i niebieskie oczka spojrzały błędnie na sklepienie inkubatora.

- Tutaj, malutka - szepnęła Maria i oczy dziecka przesunęły się w jej kierunku.

- Bardzo dobrze - wyrwało się Sophie.

Maria się rozpląkała. Łzy płynęły jej po policzkach, przyciskała chusteczkę do ust, żeby stłumić szloch.

W ich kierunku zdążyła już pielęgniarka, ale Sophie była szybsza. Otoczyła ramieniem zrozpaczoną kobietę i pomogła jej wstać z krzeselka.

- Jest tu jakieś pomieszczenie, w którym mogłybyśmy porozmawiać? - zwróciła się do Giba ponad głową Marii.

- Tędy - mruknął i ruszył przodem. Wprowadził je do urządzonego kameralnie pokoju - dwa fotele, sofa, pod ścianą stolik, a na nim elektryczny czajnik, filiżanki, spodki, kawa, herbata w torebkach i tacki z herbatnikami i ciastem.

Sophie posadziła Marię na kanapie, usiadła obok niej i czekała, aż ta się uspokoi. Potem podała jej chusteczkę higieniczną z pudełka stojącego na stoliku obok.

- Może napijemy się kawy albo herbaty? - zaproponowała.

Maria uśmiechnęła się blado.

- Poproszę kawę, i dwie kostki cukru.

- Ja się tym zajmę. - Gib ruchem ręki powstrzymał podnoszącą się z kanapy Sophie. - A co dla ciebie?

- Też kawa, niesłodzona, bez mleka.

- Wy, lekarze, wszyscy pijecie kawę... Nie mogłam tego zrozumieć, dopóki mnie to nie spotkało.

Marii głos się załamał i Sophie znowu ją objęła.

- Dzielnie to pani znosi - powiedziała. - Już opieka nad zdrowym noworodkiem to nie lada wyzwanie, a co dopiero nad takim, który wymaga specjalnej troski.

- Pół biedy, póki ona jest tutaj - zauważyła Maria, zwracając na Sophie załzawione oczy. - Tutaj są te wszystkie monitory, rurki, pielęgniarki, lekarze, ale co będzie, kiedy zabiorę ją do domu i tam się coś takiego zdarzy? Z jelitami?

- Nadal będzie mogła pani liczyć na nas - zapewnił ją Gib.  
- O każdej porze dnia i nocy może pani zadzwonić pod numer, który pani podam, i lekarz albo pielęgniarka z naszego oddziału odpowie na pytania, doradzi, co robić. Jeśli sprawa będzie poważna, może ją pani od razu przywieźć do szpitala i ktoś z nas zbada ją w izbie przyjęć, Mackenzie teraz jest również naszym dzieckiem. Członkiem naszej rodziny.

Maria uśmiechnęła się, ale Sophie czuła, jak kobieta drży i wiedziała, że Gibowi nie udało się rozwiać do końca jej obaw. Podziękowała Gibowi za kawę, którą ten postawił przed nimi na stoliku, zaczęła, aż Maria upije łyczek i powiedziała:

- Może być pani pewna, że nie wypiszemy Mackenzie, dopóki jej jelita nie zaczną funkcjonować prawidłowo i nie zaczną samodzielnie oddychać.

- Nie o to chodzi - odparła Maria. - Wiem, że nie odeślecie jej do domu niedoleczonej. Chodzi o mnie... o to, czy będę potrafiła się nią odpowiednio zajmować. Pielęgniarka uczy mnie, jak ją przewijać i jak kłaść na boczku z podciągniętą nóżką, ale jeśli zrobię coś nie tak? Albo jeśli zapalę za dużo światła, albo za bardzo będę hałasowała?

Znowu się rozplakała.

- To moja wina, że za wcześnie się urodziła, i teraz się boję, że jeszcze bardziej jej zaszkodzę i nie będzie się rozwijała tak jak inne dzieci.

- Mario - zaczęła Sophie, ujmując kobietę za rękę. - Nie znam historii Mackenzie, ale wątpię, żeby urodziła się za wcześnie z pani winy, no chyba że będąc w ciąży, skakała pani bez spadochronu z samolotu. Wszyscy mamy skłonności do obwiniania siebie, kiedy coś pójdzie nie tak, i najczęściej niesłusznie. Po prostu los tak chciał. A co do opiekowania się nią w domu... Kocha ją pani?

Maria kiwnęła głową i uśmiechnęła się przez łzy.

- Pokochałam ją od chwili, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Rozmawiałam z nią, śpiewałam jej piosenki i bawiłam się z nią, kładąc rękę na brzuchu, kiedy się wierciła.

- Pewnie dlatego rozpoznaje teraz pani głos.

I już zawsze tak będzie. Tutaj, na oddziale, robimy wszystko, żeby od strony medycznej dać dzieciom znajdującym się pod naszą opieką jak najlepszy start, ale miłość możecie im dać tylko wy, rodzice. Możemy was pouczać, jak je trzymać, jak układać do snu, ale dla każdego dziecka najważniejsza jest miłość. Dopóki Mackenzie słyszy ją w pani głosie i wyczuwa w pani dotyku, będzie dobrze. A poza tym szybko nabierze pani wprawy, ona będzie pani podpowiadała. Czy aby nie za bardzo się rozgadała? Sophie zerknęła na Giba. Stał oparty o ścianę z rękami złożonymi na piersi, a z jego miny wynikało, że jeśli o niego chodzi, to może wygłaszać takie pogadanki od rana do wieczora.

- Będzie mi podpowiadała? - powtórzyła za nią Maria.

Sophie uśmiechnęła się.

- Naturalnie. Na pewno już teraz orientuje się pani, kiedy jest rozdrażniona. Co się dzieje, kiedy pani albo ktoś z personelu chce ją wyjąć z inkubatora, co lubi, a czego nie?

- Nie lubi być trzymana na jednej dłoni.

- Skąd pani wie? - zapytała Sophie.

- Robi się różowa, tak jakby ją to denerwowało, i wydaje mi się, że zaczyna szybciej oddychać.

- Sama pani widzi. Już pani podpowiada pewne rzeczy, a pani rozumie jej reakcje. Nie twierdzę, że zawsze tak będzie. Czasami - może nawet często - będzie panią irytowało albo frustrowało, że nie wie pani, o co jej chodzi, ale to tylko na początku. Z każdym dniem będzie z tym coraz lepiej. Po jakimś czasie, kiedy rozwiną się jej płucka, zacznie marudzić i płakać, kiedy coś jej nie będzie odpowiadało, głośno i wyraźnie dając to pani do zrozumienia.

- A wtedy ja dla świętego spokoju pewnie ustąpię i zacznę ją rozpieszczać - zauważyła z uśmiechem Maria. Już nie płakała.

- Moja babcia powtarzała zawsze, że dziecka nie da się rozpieścić. - Sophie poklepała ją po dłoni.

Maria wstała. Pilno jej było wrócić do Mackenzie. Sophie chciała jej towarzyszyć, ale Gib ją zatrzymał.

- Zaczekaj - powiedział. - Miałem cię oprowadzić po szpitalu, a dopiero zaczęliśmy.

Czy to tamta niedzielna wycieczka po szpitalu z nim w roli przewodnika pomogła w aklimatyzacji, czy też Sophie Fisher naprawdę jest taka zdolna i obrotna? - deliberował Gib, siedząc w środowe popołudnie w swoim gabinecie.

Skończył już na dzisiaj, między innymi dzięki temu, że jego nowa konsultantka przejęła część jego małych pacjentów wraz z rodzicami, którzy, co zastanawiające, nie zgłaszali żadnych obiekcji.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu weszła Sophie z naręczem teczek.

- Marilyn mówi, że zawartość nie wszystkich starych teczek została wprowadzona do komputera - oświadczyła, siadając w jednym z foteli dla gości i kładąc sobie stos teczek na podółku. - Może bym się tym zajęła?

- Znaczący, wprowadziła do komputera? Dlaczego akurat ty? Szpital zatrudnia ludzi, którzy się tym zajmują i zakładam, że w końcu się z tym uporają. Szkoda twojego czasu.

Sophie uśmiechnęła się,

- Nie będę tego robiła przez cały czas. Dzisiaj mam dyżur i jeśli u któregoś z pacjentów nie nastąpi jakiś kryzys, to będę się śmiertelnie nudziła. Znam system, którego tu używacie, a we wprowadzaniu danych do komputera mam doświadczenie, bo zajmowałam się tym na praktykach studenckich. No to jak, mogę się za to zabrać?

Gib popatrzył na nią z niedowierzaniem i pokręcił głową.

- Naprawdę ci się chce?

- Naprawdę.

- No to się zabieraj - mruknął.

Sophie, balansując stosem teczek, wstała, jeszcze raz się uśmiechnęła i wyszła. Gib odprowadzał ją wzrokiem, próbując sobie wyobrazić, jak te proste czarne włosy, upięte teraz w kok, wyglądałyby po rozpuszczeniu na tle jasnej skóry jej pleców...

Albo rozrzucone na poduszce...

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Czwartek zaczął się źle, a potem było już tylko coraz gorzej. O drugiej nad ranem siostra dyżurna wezwała Sophie do Mackenzie, zaniepokojona stanem dziewczynki.

Mackenzie przez cały tydzień przysparzała im zmartwień, bo pomimo karmienia dożylnego wciąż traciła na wadze, ale kiedy Sophie zaglądała do niej o dziesiątej wieczorem, zanim poszła się zdrzemnąć do pokoju lekarskiego, jej stan był stabilny.

- Podwyższona temperatura, przyśpieszone tętno. Z tą małą dzieje się coś niedobrego. - Ściągnięta twarz Alberta świadczyła o tym, jak niepokoi go stan tej specjalnej podopiecznej.

Brzuszek był teraz prześwietlany co sześć godzin. Ze zdjęć rentgenowskich wynikało, że Mackenzie weszła w drugie stadium choroby. Kiedy o szóstej po południu analiza krwi wykazała, że liczba trombocytów spadła poniżej dwudziestu tysięcy, Sophie dokonała infuzji i odeszła od inkubatora dopiero, kiedy kolejna analiza krwi wykazała, że ich poziom się podniósł.

Teraz nie wiedziała, czy to zabieg infuzji przyczynił się do pogorszenia stanu Mackenzie, czy też wydarzyło się coś innego. Sprawdziła już wszystko, wiedząc, że malutka potrzebuje więcej płynów i elektrolitów niż inne dzieci jej wielkości.

- Czyżby perforacja jelita? - wyszeptał Albert. Sophie wzdrygnęła się. Mackenzie jest za mała na operację, ale jeśli płyn z jej wnętrzości dostaje się do żołądka, to pomimo antybiotyków, którymi ją szpikują, może dojść do zatrucia całego organizmu.

- Zrobmy jeszcze jedno prześwietlenie. Zobaczymy, co wykaże - powiedziała.



Albertowi nie trzeba było dodatkowych instrukcji. Odłączył przewody monitorów i przetoczył inkubator z noworodkiem do pracowni rentgenologicznej.

Na zdjęciu trudno się było dopatrzeć śladów perforacji.

- Założę jej do brzuszka dren. I może zmienimy jej antybiotyk, zanim Gib z chirurgami nie zadecyduje, czy będzie potrzebna laparotomia.

Przetransportowali Mackenzie do salki zabiegowej, gdzie Sophie założyła jej małą rurkę do odprowadzania płynu z brzuszka. Stan dziewczynki ustabilizował się, ale nie wiadomo na jak długo. Jeśli doszło do perforacji jelita i jego zawartość nadal wycieka do jamy brzusznej, to bez operacji się nie obędzie.

Wracając do pokoju lekarskiego, Sophie traciła pewność, czy właściwie postąpiła, zakładając ten dren, nie konsultując się z Gibem?

- No, Mackenzie, i co my mamy z tobą począć?

Byli na obchodzie. Sophie widziała się już z Gibem i opowiedziała mu o dramatycznej nocy. Wysłuchał jej relacji, nie przerywając. Ale w obchodzie towarzyszyło im jeszcze dwóch mężczyzn, których nie знаła. Jeden przedstawił się jako chirurg dziecięcy, drugi jako gastroenterolog. Domyśliła się, że obaj są tu z racji tej dziewczynki.

- Może doktor Fisher zreferuje nam przypadek Mackenzie - powiedział Gib, kiedy zatrzymali się przy inkubatorze.

Sophie opisała objawy, konkludując, że podejrzewa niedrożność jelit.

- Od czterech dni jest karmiona dożylnie i bardzo niewiele przybiera na wadze. Pojawiły się typowe symptomy: mała aktywność, problemy z oddychaniem, wymioty, zielonkawe stolce, no i lekko wzdęty brzusek. Podjęliśmy stosowne środki i jej stan na jakiś czas się poprawił, ale dziś nad ranem wystąpiły u niej objawy sepsy. Zrobiłam

prześwietlenie, założyłam dren i po analizie kultur próbki płynu z drenu, zmieniłam antybiotyki.

- Czy na zdjęciu rentgenowskim widać perforację? - spytał gastroenterolog.

- Nie - odparła Sophie. - Ale może lepsze światło na to, co się dzieje, rzuci badanie USG, które zlecił doktor Gibson, kiedy przyszedł rano na dyżur. Nie widziałam jeszcze wyników.

- Nie rzuciło - odezwał się Gib. - Dałem zdjęcia do analizy najlepszym technikom, jakich mamy, ale niczego na nich nie wypatrzyli w tym małym brzuszku.

- Będzie potrzebna laparotomia? - spytał chirurg tonem, z którego jasno wynikało, że podnieca go perspektywa operowania tak małej istoty.

- Trudno o tym decydować, kiedy mamy do czynienia z taką kruszynką - powiedział Gib - ale wygląda na to, że to jedyny sposób na przekonanie się, co się tam w środku dzieje.

- I tylko to jedno was wszystkich interesuje: dowiedzieć się, co tam się w środku dzieje? - zapytał gastroenterolog.

Pytanie za milion dolarów! Gdyby martwicę odcinka jelita stwierdzono u większego, bardziej wystabilizowanego dziecka, można by było wyciąć ten martwy odcinek i połączyć dwa zdrowe końce, ale w tym przypadku... Sophie nie chciałyby być na miejscu tego, kto musi podjąć tę decyzję.

- Wiem, że jest mała - powiedział Gib - ale innego wyjścia nie widzę. Trzeba to wyjaśnić rodzicom z zaznaczeniem, że nie ma gwarancji. Porozmawiam z nimi i dam wam znać.

- Dzisiaj? - zapytał chirurg.

- Jak najszybciej, ale wiecie, jak to jest. Będą potrzebowali czasu na zastanowienie, przedyskutowanie tego z rodziną albo swoim lekarzem rodzinnym. Nie będę ich przymuszał do podjęcia decyzji, której mogą później żałować.

- A jeśli ona umrze, zanim ją podejmą?  
- To lepiej będzie, jeśli oni bez zastanowienia dadzą nam wolną rękę, i ona umrze na stole operacyjnym? - zapytała Sophie, piorunując chirurga wzrokiem.

Obaj konsultanci wyszli z sali.

- No i co zamierzasz? - spytała Sophie. Gib uśmiechnął się.

- To zależy od decyzji rodziców. Sophie prychnęła ze zniecierpliwieniem.

- Czyżby? - mruknęła gniewnie. - Biedni rodzice wysłuchają pokornie, co mamy im do powiedzenia, nic z tego nie rozumieją, udadzą, że się zastanawiają, a potem zapytają, co byś im radził, bo dla nich lekarz to najwyższy autorytet, coś w rodzaju nieomylnego Boga. I zrobią tak, jak im doradzisz. I ty chcesz mi wmówić, że to będzie suwerenna rodzicielska decyzja?!

- Też prawda - przyznał. Nigdy nie miał w zespole neonatologa z takim doświadczeniem. - Naprawdę jesteś zdania, że powinniśmy się wstrzymać?

Spojrzała na niego z powagą.

- Jestem zdania, że jej stan nie pozwala na przeprowadzenie operacji dzisiaj - powiedziała i zaraz ściągnęła brwi. - Nie, wróć. To za ostre tempo. Jestem zdania, że nie można jej operować już teraz, rano, ale u noworodków zmiany następują tak szybko, że po południu sytuacja może być diametralnie inna.

- A gdyby przyszło nam decydować: operujemy, albo ją tracimy?

- Och, Gib - westchnęła. - Jak ja nie cierpię podejmowania takich decyzji, chociaż wiem, że ich nie unikniemy. Wtedy powiedziałabym, oczywiście, operować, ale w przypadku Mackenzie decyzja nie jest taka krytyczna, bo od drugiej w nocy jej stan systematycznie się poprawia.

- Nasi kardiochirurdzy dziecięcy operowali już mniejsze kruszynki - powiedział Gib, z rozmysłem wcielając się w rolę adwokata diabła.

- Kiedy nie było już innego wyjścia - odparowała Sophie i z uśmiechem dorzuciła: - Zresztą powiedziałam ci już, jakie jest moje zdanie na ten temat.

Dlaczego uśmiech nadaje takiego blasku jej twarzy, w sumie przeciętnej, kiedy się nie uśmiecha?

- Chcesz rozmawiać z jej rodzicami sam, czy mam iść z tobą?

- Wolałbym, żebyś przy tym była. Powiedzmy, za godzinę, zgoda?

Sophie kiwnęła głową i wyszła. Po drodze do pokoju lekarskiego zajrzała do sali wczesniaków. Maria i jej mąż Josh siedzieli przy swoim dziecku.

Przy potężnie zbudowanym ojcu, któremu postury mógłby pozazdrościć niejeden rugbista, Mackenzie wydawała się jeszcze mniejsza.

- No i co? - spytała z nadzieją w oczach Maria, a Sophie pożałowała, że tu weszła.

- Wszystko w normie - bąknęła, obrzuciła wzrokiem monitory i wyszła z poczuciem winy, że nie ma im do powiedzenia czegoś bardziej pocieszającego.

- Chodźmy na lunch - powiedział Gib, kiedy opuścili z salkę dla rodzin, w której rozmawiali z rodzicami Mackenzie o ewentualnej operacji ich córeczki.

- Chciałam zajrzeć do przedszkola, do Thomasa. Jestem na dyżurze od wczorajszego wieczora i już za nim tęsknię.

- Z Etty nie zginie - mruknął Gib, spoglądając na nią spod ściągniętych brwi, tak jakby uznał jej słowa za afront dla swojej przyszywanej ciotki, i skierował się do wind. - Wpadniesz tam po lunchu. Od wczoraj jesteś na nogach, a dziś wieczorem znów masz dyżur. Byłaś już w tej kafejce w holu?

- Nie. Posiłałam się kanapkami z lodówki w pokoju lekarskim.

- No to najwyższa pora, żebyś poznała ten przybytek. Angelique, która go prowadzi, to niezrównana kucharka, i zatrudnia najlepsze młode kadry z miejscowych college'ów.

Winda zatrzymała się na parterze. Wysiedli. Gib wziął Sophie pod rękę i wprowadził do kafejki. Zajęli miejsca naprzeciwko siebie przy małym stoliku, po czym Sophie sięgnęła po kartę dań.

- Pizza z kurczakiem, bananami, bekonem, keczupem i sosem chilli? - Spojrzała pytająco na Giba.

- Dobry wybór - pochwalił. - A na przystawkę polecam sałatkę z dyni.

- Wiesz, że to jest myśl - powiedziała, odkładając menu. - A do tego mus cytrynowy. W ten sposób będę miała z głowy... - policzyła na palcach - ...cztery rodzaje owoców i warzyw. Ile powinniśmy ich dziennie jeść, dziewięć?

Jak to możliwe, że ona jest taka wyluzowana, podczas gdy on, ilekroć znajdzie się w jej towarzystwie, czuje się jak gitarowa struna, która zaraz pęknie? Wkroczyła w jego życie przed niespełna tygodniem i już zburzyła mu spokój ducha. Tak rozbity nie był od... właśnie, od kiedy? Od zdiagnozowania choroby Gillian? Od jej pierwszego pobytu w szpitalu? Jej śmierci?

Przez ostatnie cztery lata uczył się myśleć coraz rzadziej o Gillian, ale ód czasu poznania Sophie...

- Kelnerka pyta, czy może już przyjąć od ciebie zamówienie.

Przyciszony głos Sophie przebił się do jego świadomości. Podniósł wzrok na młodą kobietę stojącą obok jego krzesła z bloczkiem i ołówkiem w rękę, gotową do notowania.

- Poproszę to samo - bąknął niezbyt przytomnie.

Sophie z uśmiechem oddała kartę dań kelnerce. Teraz, czekając na potrawy, które zamówili, mogli porozmawiać o Mackenzie. W końcu jest to lunch roboczy.

- Myślisz, że wyrażą zgodę na operację? - zapytała Sophie.

Gib spojrział na nią błędnym wzrokiem, jakby nie zrozumiał pytania.

- Josh i Maria - uściśliła na wszelki wypadek. - Jak myślisz, co postanowią?

Przyglądał jej się przez chwilę dziwnie zamglonymi oczami, potem wzruszył lekko ramionami, tak jakby otrząsał się z zamyślenia.

- Zaczekają - odparł z przekonaniem.

- Przecież kiedy Josh cię pytał, co byś radził, powiedziałaś, że operacja może okazać się konieczna, że może nie być wyjścia. Odniosłam wrażenie, że przyjął to do wiadomości.

Gib uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Ale kiedy zapytał o to samo ciebie - przypomniał jej - powiedziałaś mu, że nie muszą podejmować decyzji już teraz. Że informujemy ich o tym, żeby mieli czas na przemyślenia i w razie czego byli przygotowani.

- I co z tego?

- A to, że kiedy to mówiłaś, Maria patrzyła nie na ciebie, lecz na zdjęcie Mackenzie. Ona chyba nie chce, żeby jej dziecko dalej cierpiało.

- Och!

Sophie zacisnęła powieki, żeby zatamować napływające do oczu łzy. Gib chyba to zauważył, bo dodał:

- Trzeba ich zrozumieć. Co by z nas byli za lekarze, gdybyśmy nie wczuwali się w to, co przeżywają rodzice naszych małych pacjentów.

- No właśnie. - Sophie odchyliła się na oparcie krzesła, żeby zrobić miejsce kelnerce stawiającej przed nimi talerze.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Pierwsza przerwała je Sophie:

- Blake Smith dobrze się już czuje. Przeniesiesz go na salę zdrowych noworodków, czy od razu wypiszesz do domu?

- Rozmawiałem dzisiaj rano z jego rodzicami. Są bardzo młodzi i nie mam pewności, czy sobie sami poradzą. No wiesz, o co mi chodzi.

- Tak, wiem, pierwsze objawy bezdechu, ale przeszli przecież szkolenie teoretyczne i praktyczne. Wczoraj sama widziałam, jak Todd czule kołysze Blake'a na rękach. „Bezdech”, powiedział do mnie, kiedy go mijałam, tak jakby od zawsze wiedział, że małe dzieci mogą zapomnieć o oddychaniu.

- Dostaną do domu monitor, ale lepiej, żeby nauczyli się go najpierw obsługiwać w szpitalu.

Traf chciał, że pierwszymi osobami, jakie spotkała w drodze powrotnej na oddział, byli Todd i Jenny.

- Zostajemy na noc, a rano zabieramy Blake'a do domu - oznajmiła z podnieceniem Jenny. - Każdego popołudnia będzie do nas przychodziła mama Todda, żebym mogła się przespać. Bo Todd wraca do pracy.

Sophie życzyła im wszystkiego najlepszego, a potem, po zajrzeniu do wszystkich dzieci, nawet do Mackenzie, poszła odwiedzić w przedszkolu Thomasa.

Rzucił się jej na szyję z zachwytem w oczach.

- To wspaniałe dziecko - powiedziała Vicki, kiedy wychodziła. - Tak szybko się zaaklimatyzował.

Sophie serce się ścisnęło. Hilary powiedziała kiedyś, że ojciec nie jest nim zainteresowany. Oświadczyła to z taką stanowczością, że Sophie coś tknęło i zapytała, czy w ogóle powiedziała temu mężczyźnie, że jest w ciąży.

- Obiecałam, że nie powiem - odparła Hilary. - A on obiecał, że nigdy nie zapyta.

I Sophie miała teraz dylemat. Czy szukając ojca Thomasa, nie łamie czasem obietnicy, jaką złożyła mu Hilary?

Mniejsza z tym. Teraz, kiedy matka Hilary dążąca do odebrania jej chłopca wystąpiła na drogę sądową, będzie potrzebowała wsparcia tego nieznanego mężczyzny.

Z ciężkim westchnieniem wsiadła do windy. Zanim dojedzie na piąte piętro, gdzie znajdował się oddział intensywnej terapii dla noworodków, jej umysł musi być w stu procentach skoncentrowany na zawodowych obowiązkach. Swoje osobiste kłopoty może rozpamiętywać w czasie wolnym, ale w godzinach pracy noworodki z piątego piętra muszą ją mieć wyłącznie dla siebie...



## ROZDZIAŁ PIĄTY

W piątek po południu Sophie przekazała dyżur Yui Lin, teraz już oficjalnie ciężarnej, i młodemu lekarzowi, którego Gib pozyskał z jednego z innych zespołów. On miał pełnić dyżur pod telefonem przez cały weekend, a Yui na oddziale przez dwie noce z rzędu.

Stan małej Mackenzie jakby się poprawiał, ale to mogły być tylko pozory.

- Spędzasz nam wszystkim sen z powiek - wyszeptała Sophie, pochylając się nad inkubatorem, w którym leżała dziewczynka.

- Mów do mnie jeszcze - mruknął Josh, czuwający przy córeczce. - Maria poszła się przespać. Z tego, co widzę, pani też by się to przydało.

Sophie przyznała mu w duchu rację i poszła do przedszkola po Thomasa. Rzadko się w tym tygodniu widywali i chociaż Etty wyraźnie przypadła mu do gustu i dobrze się czuł w przedszkolu, to Sophie brakowało bezpośredniego z nim kontaktu.

- Jest w grupie średniaków - poinformowała ją Vicki, kiedy weszła do przedszkola. - Mają gościa, a ponieważ Thomas go zna, też uczestniczy w spotkaniu.

Thomas go zna? Sophie ścisnęło w dołku. Chciała już nakrzyczeć na Vicki, że obcych nie powinno się tu wpuszczać, ale Vicki ją uprzedziła:

- Regularnie nas odwiedza - powiedziała. - Dzieci go uwielbiają.

Sophie była już w drzwiach i widziała tego gościa, nie mogła tylko zrozumieć, jak mężczyźnie wzrostu Giba udało się zmieścić na małym krzesełeczku dla czterolatek.

Siedział plecami do niej, zajęty lepieniem z plasteliny jakiejś figurki. Dzieci przy stole robiły to samo i tylko Thomas zdawał się raczej jeść plastelinę, niż coś z niej formować.

Uspokoila się trochę, rozpoznawszy „gościa”. Ale co on tu robi?

- Sophie!

Thomas zerwał się od stołu i podbiegł do niej. Gib obejrzał się i z uśmiechem uniósł upačkane plasteliną ręce.

- Dołącz do nas - powiedział.

- Tak, chodź i ulep coś, Sophie! - podchwycił z entuzjazmem Thomas. - Zobacz, jaką świnkę ulepił Gib, Świnki najlepiej mu wychodzą.

- To miał być osiołek - wyjaśnił Gib, kiedy Sophie podeszła bliżej. - Lepimy scenkę rodzajową.

Thomas wrócił na swoje miejsce, a ona usiadła na wolnym krzeselku obok Giba i przyjrzała się gotowym już zwierzątkom z plasteliny.

- Ty ulep osła - powiedział Gib, wciskając jej w dłoń grudę czerwonej plasteliny.

Dzieci pokazywały sobie swoje figurki i spierały się, która jest najładniejsza. Thomas utrzymywał, że jego bezkształtna grudka plasteliny to owca.

- Co ty tu robisz? - spytała Sophie, zniżając głos.

Gib uśmiechnął się.

- Komuś może się to wydawać dziwne, ale często schodzę tu w wolnych chwilach i bawię się z dziećmi. To mnie uspokaja.

- Uspokaja?

- Żebyś wiedziała.

Thomas znowu do niej podbiegł i Sophie wstała.

- Do zobaczenia wieczorem - powiedział Gib. - Aha, dzwoniła Ety. Podsunęła mi pomysł, żebyśmy po powrocie do domu urządzili sobie grilla.

Sophie zrobiła wielkie oczy.

- Co, nie lubisz grilla? - spytał Gib. - Chyba nie zaliczasz się do tych, którzy uważają, że mięso z grilla szkodzi na serce.

- A nie szkodzi? Nie, nie mam nic przeciwko grillowaniu, ale czy nie żał ci poświęcać wolnego wieczoru na pieczenie kolacji dla mnie i Thomasa? Nie masz nic lepszego do roboty?

- Ety też trzeba nakarmić - zauważył. - Zresztą nie zamierzam poświęcać na to całego wieczoru. To co? Do zobaczenia w domu?

Uśmiech, który towarzyszył tym słowom, przyprawił ją o dreszcz i szybsze bicie serca. Zrobiło jej się gorąco i zimno zarazem, i chociaż zdawała sobie sprawę, że Thomas coś do niej mówi i szarpie ją za rękę, to nic nie słyszała. Po głowie tłukło jej się echem i zagłuszało wszystko ostatnie zdanie wypowiedziane przez Giba: „Do zobaczenia w domu”.

- Bo będzie za późno na kąpanie.

Głosik Thomasa przebił się wreszcie do jej świadomości, ale to Gib odpowiedział małuchowi:

- Na kąpiel w naszym basenie nigdy nie jest za późno, Thomasie. Mamy tam oświetlenie i można pływać nawet w środku nocy.

- Słyszałaś, Sophie? Nawet w nocy! Pokąpiemy się dzisiaj?

Z Aleksandrem Gibsonem czy bez niego?

Powiedział, że nie zamierza poświęcać im całego wieczoru, więc może gdzieś wychodzi? Może jest z kimś umówiony? Zauważyła, że nie ma teraz na palcu ślubnej obrączki. Może dlatego?

A co będzie się z nią działo, jeśli Gib nigdzie nie wychodzi i wskoczy z nimi do basenu? Jeśli widok i uśmiech tego mężczyzny kompletnie ubranego przyprawiają ją o dreszcze, to jak zareaguje, kiedy zobaczy go półnagiego?

Dostanie gęziej skórki! Przekonała się o tym dwie godziny później, kiedy Gib oznajmił, że jest już wystarczająco ciemno, by na basenie zapalić światło, a Thomas zaczął nalegać, żeby wszyscy do niego wskoczyli.

I wskoczyli. Wszyscy prócz Etty, która oświadczyła, że dosyć ma kąpieli jak na jeden dzień i lepiej zrobi, jeśli zajmie się przyrządzaniem, sałatek do kolacji i wiśniowego placka na deser.

Thomas pływał już pieskiem w basenie, Gib pluskał się po głębokiej stronie, a Sophie stała na krawędzi w szlafrocuku ściągniętym w tali paskiem i nie mogła się przemóc, żeby go zdjąć.

A jeśli on pomyśli, że jest za chuda?

Też mi coś! Nawet jak pomyśli, to co?!

- Chodź tu, Sophie! - zawołał Thomas. Zdecydowanym ruchem zrzuciła z siebie szlafrok i zsunęła się do wody. Gib tymczasem wygramolił się z wody po drugiej stronie basenu, usiadł na krawędzi i przyglądał się baraszkującym Sophie i Thomasowi. Z koka, w który Sophie związała sobie włosy, wymknęło się kilka pasemek i przyłgnęło do jej mokrych pleców.

Czyżby nabawił się obsesji na punkcie jej włosów?

Nie, zdecydowanie nie. Jego uwagę przyciągało to jasne, smukłe ciało widoczne tuż pod powierzchnią.

- Gib, patrz, jak pływam! - krzyknął Thomas. Kiedy chłopczyk był już blisko, Gib zsunął się do wody, wziął malca na barana i poczuł coś dziwnego, kiedy małe paluszki wczepiły mu się we włosy. Po raz pierwszy od lat pomyślał o Hilary Cooper. Ciekawe, czy zaszła w ciążę.

Jeśli tak, to gdzieś tam ma dziecko...

Ma czy nie, co za różnica. Rola tatusia nie wchodzi w grę. Oczywiście lubił dzieci, ale postanowił, że sam ojcem nie zostanie. Mało postanowił, przyrzekł sobie.

- Zanurkujmy! Zanurkujmy! - wrzasnął Thomas, i Gib posłuchał.

Zniknęli pod powierzchnią, żeby za moment znowu się wynurzyć.

- Widziałaś, Sophie, widziałaś?!

Gib zdjął sobie chłopczyka z barków, położył na wodzie i kazał płynąć do Sophie.

Nie może się do niego przywiązywać. Sophie pozna w końcu kogoś, kto pokocha i ją, i Thomasa, Ale kiedy malec w połowie drogi zawrócił w jego kierunku, znowu nawiedziło go to dziwne uczucie.

Rozłożyli się z grillem nad rzeką. Była tam altanka z długim metalowym stołem na giętych nóżkach i metalowymi krzeselkami, każde wyoszczędzone żółtą poduszką. Sophie siedziała na jednym z nich zapatrzona na rzekę. Zapach skwierczących steków pobudzał jej kubki smakowe, a paplanina Thomasa pomagającego Gibowi „gotować” napędzała ją poczuciem szczęścia.

- Nie za dużo tego? - spytała, zwracając się do Etty, która nakryła do stołu, kiedy oni się kąpali, i stawiała teraz miskę z sałatką.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, ile Gib potrafi zjeść - odparła Etty. - Może i wygląda na szczupłego, ale straszny z niego obżartuch.

Rzeczony „obżartuch” wkroczył we własnej osobie do altanki z półmiskiem parujących steków, za nim dreptał dumnie Thomas ze szczypcami.

Zupełnie jak rodzina, przemknęło przez myśl Sophie, ale rzut oka na lewą dłoń Giba przypomniał jej, że on nadal kocha swoją zmarłą żonę.

Chociaż obrączki wciąż na palcu nie było.

Zgubił ją, zapomniał włożyć?

A może rzeczywiście jest z kimś na ten wieczór umówiony, z kimś, na kim zależy mu na tyle, że z rozmysłem ją zdjął?

Aromat pieczonego mięsa, do tej pory tak kuszący i smakowity, stracił nagle cały swój powab. Sophie wybrała dla

Thomasa mały kawałek steku, pokroiła go w cząstki i nałożyła na talerzyk porcję sałatki.

Etty rozprawiała o ozdobach choinkowych, za przygotowywanie których zamierzali się zabrać z Thomasem nazajutrz, chociaż samą choinkę miano dostarczyć dopiero w następną sobotę.

- Dużą zamówiłaś? - spytał Gib.

- Bardzo dużą - odpowiedział za Etty Thomas. - Do samego sufitu.

- Aż taką? - Gib pokręcił głową z udawanym zachwytem.

- Coś podobnego...

Sophie żuła bez apetytu swój stek. Omal nie rzuciła się na szyję Etty, kiedy ta oznajmiła:

- Jest tu jeden mały chłopczyk, który powinien być już w łóżeczku.

Zerwała się ochoczo od stołu.

- Nie, ty siedź, ja go ułożę do snu - powiedziała Etty. - Jesteśmy w połowie bajki, która musimy jeszcze dzisiaj doczytać do końca. Prawda, Thomas?

Sophie zawahała się, ale Thomas podbiegł, by pocałować ją na dobranoc, a potem wdrapał się na kolana Etty i zadowolony odjechał z nią na wózku w kierunku domu.

- Przepraszam - powiedział do Sophie Gib, kiedy zostali sami.

Przepraszam?

- Za co? - spytała, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

- Za Etty. Zachowuje się jak słoń w składzie porcelany. Żeby tak zabrać Thomasa i zostawić nas samych. Od dawna suszy mi głowę, że powinienem się powtórnie ożenić i teraz, kiedy zjawiałaś się tutaj ty z Thomasem, którego zdążyła już pokochać, nie może zrozumieć, dlaczego nie poprosiłem cię jeszcze o rękę.

- Po niespełna tygodniu? - spytała Sophie lekkim tonem, chociaż dech zaparło jej na chwilę w piersiach, a serce zabiło jak szalone. - A co ty na to? Na ten powtórny ożenek?

No nie, zbłaźnić się takim kretyńskim pytaniem! Ale zanim umarła ze wstydu, Gib odpowiedział:

- Za nic.

Zabrzmiało to definitywnie i powinno podziałać na nią jak zimny prysznic, ale nie podziałało.

- Aż tak? Masz pewnie jakiś powód. Zachichotał, tak jakby rozbawiła go jej nachalna

dociekliwość. Ale potem wstał i już całkiem poważny, ze zwieszoną głową, podszedł do ogrodzenia, które oddzielało jego posiadłość od rzeki.

- Przepraszam - bąknęła, stając obok niego. - To nie moja sprawa. Sama nie wiem, co mnie podkusiło, żeby o to zapytać.

Spojrzał na nią, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Stali tak przytuleni, patrząc na rzekę.

- Mężczyzna, kobieta, plusk wody w rzece, księżyc odbijający się w falach... Dlaczego miałabyś nie zapytać?

Sophie wstrzymała na moment oddech, a on uniósł rękę i wyciągnął z jej koka podtrzymujący go grzebyk.

- Od dawna o tym marzyłem - mruknął. - I o tym też.

Rozczesane jego palcami włosy opadły jej na plecy i ramiona.

- Piękne włosy, piękny uśmiech. Jak on mógł cię porzucić, Sophie? A może to ty od niego odeszłaś, zabierając Thomasa?

Sophie zdretniała.

- On mnie nie porzucił, bo nigdy ze sobą nie byliśmy, a Thomasa nie chciał. Nawet nie wie o jego istnieniu. Ale mniejsza z tym. Rozmawialiśmy o tobie, więc nie zmieniaj tematu. Gib wpatrywał się w wodę.

- Jeśli on nie wie o istnieniu Thomasa, to skąd wiesz, że go nie chce?

To pytanie zasiało strach w sercu Sophie.

- Była umowa, że nie będzie miał żadnych roszczeń co do dziecka - powtórzyła za Hilary.

Przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej i pogładził po włosach.

- Dureń - mruknął pod nosem, a potem obrócił ją twarzą do siebie i spojrzał w oczy. - Ty też czujesz tę siłę, która nas do siebie przyciąga?

Kiwnęła ledwo zauważalnie głową, ale jemu to wystarczyło. Pochylił głowę i musnął wargami jej usta.

Odsunęła się spłoszona. Niedaleko, ale poza zasięg pocałunku.

- Ja, oj... Bo Thomas... Jak by tu...

Zabrakło jej słów. W głowie miała kompletną pustkę.

No, na początek mogła, dajmy na to, zapytać, czemu, skoro nie chce już się żenić, zdjął obrączkę, ale co ją to w końcu obchodzi.

- To również od jakiegoś czasu za mną chodzi - powiedział cicho. - Ale teraz koniec. Nie zamierzam się więcej angażować - zbytnio angażować - w związku z kobietami, zwłaszcza z takimi, które mają dziecko na wychowaniu.

- Ty chyba jesteś na tym punkcie uprzedzony - zauważyła Sophie, cofając się jeszcze bardziej.

Odwrócił się znowu ku rzece i zasepił.

- Zawiodłem swoją żonę, i to nieraz. Gillian była moim dokładnym przeciwieństwem. Piękna, błyskotliwa, pełna życia, otwarta, podczas gdy ja jestem introwertykiem. Była aktorką, grała w serialach telewizyjnych kręconych w Sydney i Melbourne, a więc większą część roku przebywała poza domem.



Zamilkł. Przedłużająca się cisza stawała się nie do wytrzymania. Sophie postanowiła ją przerwać.

- To musiało się źle odbijać na waszym małżeństwie.

Gib spojrział na nią i pokręcił głową.

- Wprost przeciwnie, ubarwiało je. Ubarwiało? Coś takiego!

- Kiedy spotykaliśmy się w weekendy, było zawsze tak, jakbyśmy się na nowo poznawali, i ta magia działała przez wiele lat.

Magia?

- A mnie przez wszystkie te lata nawet przez myśl nie przeszło, że ta jej żywotność, ta radość życia, nie była naturalna. Że przeważnie widywałem Gillian w okresach euforii, a przegapiałem jej dołki psychiczne, chociaż w pierwszym stadium choroby te dołki nie były aż tak wyraziste. Pogłębiły się dopiero później i bywało, że miesiącami leżała w szpitalu, gdzie środkami farmakologicznymi próbowano jej przywrócić chęć do życia.

Sophie zalała falą współczucia. Przysunęła się znowu bliżej i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Kiedy się pobieraliśmy, chciałem mieć dzieci - podjął - całą gromadkę, ale to przeszkodziłoby Gillian w karierze, którą właśnie wtedy zaczynała. Później, kiedy ona uznała, że może urodzić dziecko, mnie już przeszło. Porozmawialiśmy i zdecydowaliśmy, że nie będziemy mieli dzieci. I zaraz potem po raz pierwszy trafiła do szpitala. Od tamtego czasu nasz światek stanął na głowie. Zwyczajne codzienne kłopoty w jej oczach urastały do nieprzezwycięzonych problemów, a uczucie, jakim ją obdarzałem, zaczęła uznawać za jakieś zboczenie. Kiedy stan jej zdrowia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego, znacznie się pogorszył, sprowadziłem tu Etty. To też się Gillian nie spodobało. Upatrywała w Etty strażniczkę obserwującą każdy jej ruch. Kiedy teraz o tym

myślę, dochodzę do wniosku, że nie spisałem się jako mąż. Chyba już rozumiesz, skąd moje uprzedzenie do kolejnych związków.

Gib odwrócił się z ciężkim westchnieniem, wszedł do altanki i zaczął zbierać do dużej plastikowej skrzynki brudne naczynia ze stołu.

- Zaniosę to do kuchni i załaduję do zmywarki - oznajmił, tak jakby ta rozmowa i pocałunek w ogóle nie miały miejsca. - Ty tu jeszcze posiedzisz? Trafisz potem do domu? Gdybyś chciała popływać, to światło na basenie zostawiłem zapalone.

Sophie kiwnęła głową. Wolała się nie odzywać, bo wzruszenie ścisnęło jej krtani. Nie chciało jej się pływać, nie chciało spać. Najchętniej zostałaaby tu, nad rzeką. Z Gibem.

Mężczyzna, kobieta, plusk wody w rzece...

Gruszki na wierzbie. Zachciało jej się magicznego romansu z mężczyzną, który na tej magii tak się już sparzył, że przestał w nią wierzyć.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie boisz się latać?

Weekend minął szybko. Sophie praktycznie cały spędziła z Thomasem. Popłynęli jednym z promów City Cats najpierw do Southbank, gdzie się wykąпали, a potem dalej w dół rzeki na piknik w cieniu drzew wielkiego parku.

Kiedy Thomas spał albo bawił się w mieszkaniu, obdzwoniła przyjaciół Hilary z instytutu badawczego w Brisbane. Niektóre z tych osób znała już osobiście, pomagały jej organizować pogrzeb siostry, inne tylko z nazwisk w notesie Hilary. Wszyscy, do których telefonowała, wyrażali się o jej siostrze z szacunkiem i afektem.

Sophie była przekonana, że z pomocą tych ludzi - przyjaciół i znajomych Hilary - odnajdzie ojca Thomasa.

W niedzielę po południu Gib zastał ją z chłopcem na basenie i zaproponował grilla, ale Sophie, wciąż jeszcze roztrzęsiona po tamtej dziwnej rozmowie po piątkowej kolacji, odmówiła, tłumacząc, że obiecała Thomasowi wyprawę na hamburgera.

Rzeczywiście mu to obiecała, tylko nie powiedziała kiedy!

Teraz, kiedy Thomas już spał i weekend dobiegał końca, Sophie zeszła nad rzekę i zamyśliła się, zapatrzona w wodę.

- Sophie, słyszysz?! Polecisz ze mną?

To Gib wołał do niej z okna salonu i coś w jego głosie sugerowało, że robi to od jakiegoś czasu. Otrząsnęła się z zadumy.

- Trojaczki urodzone głupie cztery tygodnie przed terminem, ale z niedowagą. Dwie godziny lotu na zachód od Brisbane.

- Już biegnę, daj mi pięć minut... Ubiorę się tylko i jestem gotowa.

Wpadła do domu, ściągając po drodze szlafrok i uświadamiając sobie, jak dobrze mieć pod ręką Etty.

- Często odbywacie takie loty transportowe? - zapytała Giba, wsiadając do samochodu. - I za każdym razem uczestniczy w nich dwójka lekarzy?

- Ani jedno, ani drugie. Lecę pierwszy raz od kilku lat.

- I pomyślałeś sobie, że to dobra okazja do sprawdzenia w takiej sytuacji nowej koleżanki. Czyli lecę zamiast pielęgniarki?

Byli już na głównej, dobrze oświetlonej szosie, toteż Sophie dostrzegła uśmiech błakający się po wargach Giba.

- Ciepło, ale to nie jest test na twoje umiejętności ani predyspozycje. Obserwowałem cię i przekonałem się, że twoje referencje nie są przesadzone. Pomyślałem sobie po prostu, że pokażę ci, jak pracuje zespół transportowy. Królewskie Pogotowie Lotnicze w Brisbane ma samolot, z którego korzystamy w przypadku dłuższych lotów. Jeśli jest akurat zajęty albo niesprawny, latamy odrzutowcem rządowym.

Samolot KPL jest najlepszy ze względu na wyposażenie, ale dwa nasze inkubatory do transportowania noworodków są samowystarczalne, posiadają własne zasilacze do podtrzymywania warunków termicznych, wentylatory, monitory temperatury i pracy serca, butle z tlenem i sprężonym powietrzem, urządzenia odsysające i pompy infuzyjne, można więc z nimi latać helikopterami, jeździć karetkami, i tak dalej.

Jechali przez dzielnicę miasta, której Sophie jeszcze nie знаła. Jasne światła przed nimi sugerowały, że zbliżają się do lotniska.

- Trzydzieści minut. To czas mobilizacji, którego staramy się nie przekraczać.

Gib skręcił w boczną uliczkę. Brama na jej końcu już się otwierała, tak jakby strażnik z daleka rozpoznał samochód.

- Dyspozytor lotów podał ochronie lotniska nasz numer rejestracyjny - wyjaśnił Gib, dziękując mężczyźnie gestem uniesionej ręki.

Jechali wzdłuż szeregu niskich hangarów w kierunku rzęsiście oświetlonej płyty lotniskowej.

- Jak się już domyśliłaś, zastępujesz pielęgniarkę, i leci z nami jeszcze terapeutka respiracyjna.

Kiedy parkował, do Sophie dotarło wreszcie to, co wcześniej powiedział.

- Dwa inkubatory transportowe? Przecież dzieci jest troje! Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Jeśli będzie taka możliwość, załaduję całą trójkę do jednego. Nie spotkałaś się z tym w Sydney? Z umieszczaniem bliźniąt w jednym inkubatorze?

Zaobserwowaliśmy, że dobrze się czują w swoim towarzystwie i są spokojniejsze niż w przypadku rozdzielania. Formalnych badań w tym względzie jeszcze nie przeprowadzaliśmy, ale poprosiliśmy inne oddziały noworodków o zbieranie danych na ten temat.

Dlaczego zaproponował jej udział w tym locie?

Gib zadawał sobie to pytanie, patrząc na Sophie, która słuchała go z lekko przekrzywioną głową, patrząc na jej włosy, dzisiejszego wieczoru ściągnięte w luźny, przewieszony przez ramię koński ogon.

- Robiliśmy tak czasami, kiedy dwoje dzieci poddawanych było podobnej terapii, ale w przypadku porodów mnogich nie uciekaliśmy się do takich rozwiązań.

Gib ruszył przodem w kierunku samolotu. Przywitał się z Sue, terapeutką respiracyjną, i z pilotem. Pilot pokazał mu, jak zabezpieczyć inkubatory i torby ze sprzętem medycznym, które kilka minut wcześniej przyjechały karetką, potem kazał im zapiąć pasy i ruszyli na pas startowy.

Sophie gawędziła z Sue, Gib patrzył zamyślony w okno. Z zadumy wyrwał go głos Sophie:

- Sue opowiadała mi właśnie o czworaczkach, które pomagała transportować w zeszłym roku.

Spojrzał na nią.

- Podobno jedno z tej czwórki straciłeś.

- Trzydziesty czwarty tydzień i wszystkie poniżej kilograma - odparł - a ten najmniejszy na dodatek z niedrożnością jelit. Nie dało się go uratować, chociaż robiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Sophie przyglądała mu się przez chwilę.

- Nieważne, ile dzieci stracisz, prawda? - powiedziała cicho. - Śmierć każdego to jak nóż w serce.

- Tak to odczuwasz?

- A ty nie?

- Ja też - przyznał - ale znam wielu profesjonalistów, którzy nie podchodzą do tego tak emocjonalnie. Robili, co mogli, a że się nie udało, to już nie ich wina. Umywają ręce.

- A ja myślę, że to tylko poza - odparowała Sophie. - Mówią tak, żeby zagłuszyć poczucie straty, które bywa czasami tak dojmujące, że człowiek zaczyna się zastanawiać, po co w ogóle wybrał ten zawód.

- Tak, do momentu, kiedy do jego gabinetu wejdzie dorodna piętnastolatka, cmoknie go w policzek i oznajmi, że zamierza pójść w jego ślady i wybiera się na medycynę.

- Przydarzyło ci się już coś takiego?

- Masz na myśli Becky Wainwright, tak? - odezwała się Sue. - Przyszła niedawno do szpitala - wyjaśniła, zwracając się do Sophie. - Boże, ależ ona malutka się urodziła! Pamiętasz, Gib?

- Małoletnia matka, palaczka, z tendencjami do tycia, w związku z czym odchudzająca się bez opamiętania. Becky przyszła na świat zaledwie tydzień przed terminem, ale była

taka maleńka, że nikt nie wierzył, że przeżyje; Ale przeżyła. Matka też wzięła się za siebie. Wróciła do szkoły, potem zdała na uniwersytet i ukończyła wydział pedagogiki. Znasz ją. To Vicki, wychowawczyni Thomasa z przedszkola.

- Cudowna historia. Muszę porozmawiać z Vicki, zapytać, jak jej się to udało. Czy rodzina ją wspierała.

Sue poszła na przód samolotu do kabiny pilota, a Gib, chociaż zdawał sobie sprawę, że to nie wypada, zapytał:

- A tobie rodzina nie pomogła, kiedy urodził się Thomas?  
Sophie spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Rodziny właściwie nie miałam. Tylko siostrę i babcię. Obie już zresztą nie żyją.

Odwróciła się do okna i zapatrzyła w czern.

- No, wiara, przypiąć się mocno, mamy przed sobą burzę, ale spróbuję ją ominąć.

Ledwo Sophie zdążyła wykonać polecenie pilota, samolot przechylił się ostro na skrzydło i zanurkował na łeb na szyję. Kiedy chwilę potem wyrównywał lot, przerażona, nieprzygotowana na takie sensacje, uświadomiła sobie, że zamiast poręczy fotela ściska za rękę Giba. Czern za oknem rozdarła błyskawica, oświetlając kłębowisko chmur.

- Nieźle, co? - mruknął Gib. Spojrzała na niego spode łba.

- Nie lubię samolotów - wyrzuciła z siebie. - Co tam, nie lubię. Nie znoszę, nie cierpię, nienawidzę!

- Nie musiałaś lecieć.

- Właśnie że musiałam. Takie transporty należą do moich obowiązków.

Zawiesiła na chwilę głos, a potem dodała:

- Ale to jeszcze nie znaczy, że muszę w nich gustować.

Puściła jego dłoń, ale w tym momencie maszyną znowu zatrzęsło, więc czym prędzej ponownie chwyciła go za rękę, ściskając ją z dwa razy większą siłą.

- Przepraszam państwa za tę trzęsionkę - powiedział pilot, wchodząc po wylądowaniu do kabiny, żeby otworzyć drzwi - ale to sezon burz i trudno się na jakąś nie nadziać.

Sophie odpięła pas i zerwała się z fotela, by czym prędzej opuścić tę zniechęconą maszynę, ale u szczytu schodków zatrzymała się jak wryta.

Obok samolotu stał już ambulans, a sanitariusz otwierał tylne drzwi. .

- Odsuń się, będą wnosili dzieci - powiedział Gib. - Jak tylko znajdą się na pokładzie, zaczniemy je stabilizować.

Sanitariusz wysunął nosze, nóżki z kółkami opadły na beton. Siedział na nich mężczyzna okutany kocem.

- Mam tu je wszystkie! - zawołał. - Pielęgniarka ze szpitala powiedziała, że to najlepszy sposób na uchronienie ich przed wyziębieniem.

Sanitariusz postępował za mężczyzną, kiedy ten wspinał się po schodkach, a potem pomógł mu usiąść. Dopiero wtedy Sophie zauważyła, że mężczyzna tuli do siebie wszystkie trzy noworodki. Czegoś takiego jeszcze nie widziała.

Mężczyzna, jak na świeżo upieczonego ojca przystało, zignorował w pierwszej chwili las rąk, które wyciągnęły się, by uwolnić go od tego brzemienia.

- To Kristie - powiedział, powierzając w końcu pierwsze dziecko Sue, które ta umieściła natychmiast w inkubatorze. - Ona pierwsza się urodziła.

Sophie odebrała od niego następne, Carly, i położyła w inkubatorze obok Kristie.

- A to Angus. - Ojcowska duma biła z oczu mężczyzny i pobrzmiwała w jego głosie, kiedy oddawał swojego syna Gibowi. - Wiemy, że nie możemy lecieć z wami do Brisbane, ale jak tylko pielęgniarka powie, że Helen - moja żona, znaczy - może podróżować, to od razu tam ruszymy samochodem.



Uwolniony od dzieci wstał i zapiął koszulę. Wełniany koc, którym był owinięty, leżał zapomniany na podłodze. Był zbyt przejęty, by zwracać uwagę na takie drobiazgi. Patrzył przez chwilę, jak Gib, Sophie i Sue krzątają się przy inkubatorze z jego pociechami.

- Będziecie się do nich zwracać po imieniu? - spytał, kiedy Gib zakładał dzieciom małe opaski identyfikacyjne na nóżki.

- Będziemy - zapewniła go Sophie - i otoczymy je specjalną opieką. Wracaj teraz do Helen, na pewno czeka tam cała w nerwach. I jedź ostrożnie. Te maluszki potrzebują was obojga.

Mężczyzna dotknął jeszcze raz zgrubiałym palcem czoła każdego dziecka, jakby błogosławił je na drogę. Potem pożegnał się z każdym z osobna, wymieniając imię. Sophie wzruszenie ścisnęło krtani.

- Ciekawe, dlaczego te imiona są dla niego takie ważne - powiedziała Sue, kiedy znowu byli w powietrzu.

- Może dlatego, że jest ich troje - zasugerował Gib. - I nie chce, żebyśmy je pomylili.

- W tym jest chyba coś więcej - powiedziała Sophie. - On miał jakiś obcy akcent. Może musiał zmienić imię, kiedy przybył tu ze swojej ojczyzny, i ma teraz uraz na tym punkcie.

Na spekulacjach na temat imion i stanu zdrowia noworodków upłynęła im cała droga powrotna do Brisbane.

Kiedy dojeżdżali z lotniska do szpitala, małemu Angusowi tętno spadło do siedemdziesięciu.

Zbadali go, prześwietlili, ale żadnych wad serca nie stwierdzili. Przyczyną mogły być okresy bezdechu, które miewał, ale te nie powinny powodować tak dramatycznego spowolnienia tętna.

- On urodził się ostatni. Może w grę wchodzi niedotlenienie? - zasugerowała Sue.

- To mogłoby spowodować inne powikłania, ale by nie doprowadziło do takiego spadku tętna.

Gib wsunął rękę w otwór i pogładził malutką, nie rozwiniętą w pełni klatkę piersiową chłopczyka.

- No, nie rób nam tego, koleś. Obiecaliśmy twojemu tatusiowi, że z nami nie zginiesz.

- Nie rób nam tego, Angus - poprawiła go Sophie. Chłopczyk oddychał prawidłowo - pięćdziesiąt oddechów na minutę - dlaczego więc jego serduszko tak słabo bije? Problemy z sercem, jakieś anomalie przyspieszają zwykłe akcję serca.

- Podaj mu więcej tlenu - powiedział Gib do Sue. Sophie spojrzała na siostrzyczki Angusa leżące w osobnym inkubatorze.

- A może by je tak przenieść do niego? - zasugerowała Gibowi, ale ten pokręcił głową.

- Próbowaliśmy już dać mu do towarzystwa Carly... nie, chyba Kristie, i niczego to nie zmieniło.

- No tak, ale ja mam na myśli obie - powiedziała Sophie. - Mimo wszystko przez ostatnie dziewięć miesięcy tłoczyli się we trójkę w jednym ciasnym łonie.

Gib popatrzył na nią z namysłem.

- Można spróbować - mruknął, po czym pielęgniarka opiekująca się Angusem wzięła malca ostrożnie na rękę.

Sophie rozsunała dwie dziewczynki w drugim inkubatorze, robiąc między nimi miejsce dla chłopczyka.

Pielęgniarka położyła go tam i sprawdziła przewody łączące go z monitorem.

- No i patrzcie! - Wskazała na ekran, ale oni już zdążyli zauważyć wyraźną poprawę.

Serduszko Angusa momentalnie przyspieszyło i biło teraz osiemdziesiąt razy na minutę.

- Nie wolno nam spoczywać na laurach - powiedział Gib.  
- Trzeba go nadal bacznie obserwować, zwłaszcza kiedy będziemy rozdzielać tę trójkę podczas karmienia albo do zabiegów.

Wyszedł z sali i kiedy po dziesięciu minutach wrócił, zastał Sue i Sophie nadal nad inkubatorem.

- Sue ma dzisiaj dyżur, ale ty nie - przypomniał Sophie. - Zaczynasz dopiero za... - spojrzał na zegarek - za cztery godziny. Prześpij się lepiej. Podrzucę cię do domu.

Sue spojrzała pytająco na Sophie.

- Mieszkamy razem - wyjaśniła Sophie i natychmiast ugryzła się w język, zdając sobie sprawę, jak dwuznacznie to zabrzmiało. - To znaczy w tym samym domu, ale w osobnych mieszkaniach. Gib z ciocią w jednym, a ja z Thomasem w sąsiednim.

To wyjaśnienie chyba jeszcze bardziej zamieszało w głowie Sue.

Albo utwierdziło ją w przekonaniu, że Sophie ma z Gibem romans.

- Aha, Thomas?! - podchwyciła. - Wszyscy się tu zastanawialiśmy, czy w twoim życiu był jakiś mężczyzna. To ktoś stąd? Przeniosłaś się tu z Sydney, żeby być bliżej niego? Czym się zajmuje?

Sophie miała już wyjaśnić, kim jest dla niej Thomas, a przede wszystkim, że to dziecko, ale Gib ją uprzedził.

- Jeśli zaczniesz odpowiadać na pytania Sue, to utkniesz tu do rana. Uprzedzam cię, że ona nie spocznie, dopóki nie wyciśnie z ciebie ostatniego szczegółu dotyczącego twojego życia osobistego. A jak już wszystko będzie wiedziała, to tak jakby wiedział cały świat.

- Tylko świat szpitalny - zachnęła się Sue, ale jej uśmiech świadczył, że w najmniejszym stopniu nie poczuła się dotknięta słowami Giba.

- Ale twoje niedoczekanie, bo my z Sophie wracamy do domu: ja do cioci Etty, Sophie do Thomasa.

Gib wziął Sophie pod rękę i odciągnął od inkubatora z trojaczkami.

- Cały personel oddziału gra w jednej drużynie z ciocią Etty i usiłuje mnie z kimś wyswatać, a przynajmniej umówić. Dobrze, że wspomniałaś o Thomasie. To zupełnie zbiło Sue z pantałyku.

- Ale ja chciałam potem wyjaśnić... To nie w porządku, żeby ona myślała że on...

- Przejmujesz się tym, co o tobie myślą? - wpadł jej w słowo Gib, zatrzymując się przy samochodzie i otwierając przed nią drzwi.

Spojrzała mu w oczy, ale na parkingu było ciemno i niewiele można było z nich wyczytać.

- Prawdę mówiąc, to nie. To znaczy, nie chciałabym, żeby ludzie uważali mnie za snobkę albo myśleli, że zadzieram nosa, ale w zasadzie jestem osobą skrytą, nie w tym sensie, że mam coś do ukrycia. Ja po prostu nie lubię o sobie mówić. Zostałam wychowana... - Urwała.

No właśnie, co takiego się stało, że nie lubi o sobie mówić? Wsiadła do samochodu.

- Zostałaś wychowana... ? - podjął, kiedy wyjeżdżali z parkingu.

Obserwowała jego profil, zastanawiając się, czy będzie dalej nalegał, jeśli nie odpowie. Nie przypuszczała, bo wydawał się tak samo jak ona nieskory do opowiadania o swoim życiu prywatnym.

- Wszyscy zostaliśmy jakoś wychowani - mruknęła.

- Za młoda jesteś i zbyt atrakcyjna, żeby odgradzać się od świata - zauważył półgłosem, kiedy skręcali z szosy w drogę prowadzącą do jego domu. - I chyba źle zrobiłem, proponując ci zamieszkanie tutaj.

Spojrzała na niego.

- Chcesz, żebyśmy się wyprowadzili?

- Skądże znowu! - zachnął się, zatrzymując auto na podejździe. - Ale to krępujące dla ciebie. Może chciałabyś przyprowadzić do domu przyjaciela... mężczyznę. A ja ci stoję na drodze.

Sophie potrząsnęła głową, wzięła głęboki oddech i odwróciła się do niego.

- Co ty wygadujesz, Gib?! Zapewniam cię, że mężczyźni w tej chwili zupełnie mnie nie interesują. Teraz najważniejszy jest dla mnie Thomas.

Z tymi słowami odszukała klamkę i otworzyła drzwi, żeby czym prędzej wysiąść z samochodu i znaleźć się jak najdalej od tego mężczyzny.

- To, co powiedziałem - mruknął, otaczając ją ramieniem - odnosiło się bardziej do mnie niż do ciebie. Jeśli kogoś masz, to może przestanę ci się narzucać.

- No, chwała Bogu! - zawołał Albert na widok niewyspanej Sophie wchodzącej na oddział. - Tyle mamy tego drobiazgu, a tu jeszcze trzy niemowlaki, w tym jeden z podejrzeniem wady serca.

- Znaczy, nie nudziłeś się - burknęła Sophie. - Rodzice już są?

Albert się uśmiechnął.

- Jeszcze nie dotarli, ale są w drodze. Helen, mamusia, dzwoni co dziesięć minut, żeby zapytać o stan pociech.

- Już sobie wyobrażam, co to za szok być oddzieloną od swoich dzieci zaraz po ich urodzeniu - powiedziała Sophie, zaglądając do trojaczków, a potem podchodząc do inkubatora Mackenzie, przy którym siedziała Maria.

- Dobrze z nią, prawda? - spytała Maria.

- W tej chwili nawet bardzo dobrze - zapewniła ją Sophie, zerknąwszy na monitory.

- To mogę już powrócić do karmienia jej piersią?  
- Zapytam Giba, co on na to.  
- Doktor Fisher proszona na oddział ratunkowy. Doktor Fisher proszona na oddział ratunkowy.

To wezwanie przez interkom było tak niespodziewane, że Sophie dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to ona jest tą doktor Fisher, a zaraz potem strach ścisnął jej serce. Czyżby coś z Thomasem?!

- Pokój drugi! - powiedziała dyżurna pielęgniarka, kierując ją do pomieszczenia pełnego już ludzi ratujących życie ofierze wypadku drogowego.

- Pani jest neonatologiem? - warknął do niej jakiś mężczyzna, a Sophie skinęła głową.

- To niech pani tu zostanie. Ona jest w zaawansowanej ciąży, ale nie mamy czasu na określanie, który to miesiąc. Płód jest nieuszkodzony. Kobieta doznała poważnego urazu głowy. Będzie pani gotowa, gdybyśmy pani potrzebowali?

Sophie kiwnęła głową.

- Tracimy ją! - krzyknął ktoś, i zespół, zapominając o Sophie, rzucił się do ratowania rannej.

- Niedobrze! Patrzcie na monitor, żadnej aktywności mózgu.

- Ale tętno płodu wyczuwalne. Gdzie ta cholerna położna?!

- Już jestem.

Mała kobietka w za dużym na nią niebieskim fartuchu przepchnęła się przez tłum.

- Odbierałam właśnie bliźnięta i nie mogłam wcześniej.

Obmacała lekko wzdęty brzuch ciężarnej.

- Najdalej trzydziesty tydzień - orzekła, spoglądając z z troskaniem na monitor. - Wezwaliście kogoś z intensywnej terapii noworodków?

Ktoś wskazał głową na Sophie i kobieta odwróciła się do niej.

- Marty Cox. Słyszałaś wszystko. Co ty na to? Sophie nie wahała się ani chwili.

- Dziecko nie dość, że rozpocznie życie bez matki, to jeszcze urodzi się dziesięć tygodni przed terminem. A na tym etapie liczy się każdy dzień. Potrafilibyście podtrzymać ją przy życiu przez kilka tygodni?

- Powiedzmy sześć, i dziecko miałoby o wiele większe szanse - poparła ją Marty.

- Potrzeba na to czyjś zezwolenia? - spytała Sophie.

- Zezwolenia może nie, ale zgody męża na pewno - odparła Marty.

- Wypadaloby też zasięgnąć opinii komisji etyki szpitalnej - podpowiedział lekarz z oddziału ratunkowego. - I porozmawiać z ordynatorem oddziału intensywnej terapii. W końcu to on będzie musiał otoczyć ją opieką i konsultować się z rodziną. W grę wchodzi również koszty...

Marty przewróciła oczami.

- Komisja etyki opiniuje sytuacje, w których powstaje dylemat, czy odłączyć już pacjenta od aparatury podtrzymującej życie, czy jeszcze nie. Decyzja o podłączeniu go do niej pod nieobecność rodziny to zwyczajna formalność - powiedziała. - Bierzcie się więc do roboty, a ja idę to załatwić.

- A zwracając się do Sophie, dodała: - Chodź ze mną. Więcej potrafisz powiedzieć o szansach tej drobinki na przeżycie.

- A jeśli ojciec nie zgodzi się na takie załatwienie sprawy? - spytała Sophie, przedstawivszy się Marty.

- Porozmawiamy z nim, wyjaśnimy, w czym rzecz.

Uśmiechnęła się do Sophie.

- Najważniejsze to uratować nasze dziecko.

- Nasze dziecko! A to dobre. - Sophie pokręciła głową i Marty znowu się uśmiechnęła.

- A nie jest nasze? Moje, dopóki go nie odbiorę, a twoje potem. Miejmy nadzieję, że to potem nastąpi za co najmniej miesiąc.

Wsiadły do windy i Marty nacisnęła guzik ostatniego piętra.

- Stamtąd rządzą nami wszystkie grube ryby - wyjaśniła. - Poznałaś już ordynatora?

- Sama nie wiem. Może był w komisji, która przeprowadzała ze mną rozmowę kwalifikacyjną.

- Lubisz tę pracę? - spytała Marty.

- Uwielbiam! - odparła z autentycznym entuzjazmem Sophie.

Marty spojrzała na nią z ukosa i uniosła znacząco brwi.

- Mam nadzieję, że w swoim szefie jeszcze się nie zadurzyłaś? - spytała, kiedy wysiadały z windy. - Z tego, co wiem, on nie jest do wzięcia.

- Pracuję tu dopiero od tygodnia - zachnęła się Sophie.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie - zauważyła Marty i wprowadziła Sophie do pokoju, w którym stała sofa, dwa głębokie fotele i jasne biurko, za którym siedziała kobieta tak elegancko ubrana, że Sophie odruchowo wygładziła na sobie fartuch.

- Kate, to Sophie Fisher, nowa neonatolog w zespole Giba. Sophie, poznaj Kate Hall, strażniczkę u bram. Szef u siebie?

- U siebie, ale sama wiesz, jak nie lubi niezapowiedzianych gości - odparła Kate.

- A ja nie lubię, jak umierają ciężarne kobiety poszkodowane w wypadkach drogowych, noszące w sobie płód, który jest jeszcze zdolny do życia.

- O cholera! - mruknęła Kate i nacisnęła klawisz wielkiego telefonu stojącego po prawej stronie jej schludnego biurka.



Rzuciła przyciszonym głosem kilka słów, wysłuchała jakiejś odpowiedzi i przenosząc wzrok na Marty i Sophie, powiedziała:

- Wejdźcie.

- A gdzie dziecko? - spytał cicho Gib wysiadając z windy Sophie.

Słyszał, jak wzywano ją na oddział ratunkowy, a to, że wracała bez dziecka, mogło znaczyć tylko jedno.

- Nie ma - odparła.

Wziął ją pod rękę i wprowadził do swojego gabinetu.

- Kawy?

- Poproszę - bąknęła cicho i ukryła twarz w dłoniach.

Zaparzył dwie filiżanki kawy w ekspresie, który dostał w prezencie od wdzięcznej rodziny jednego ze swoich pacjentów, postawił je przed Sophie na małym stoliku i opadł na sąsiedni fotel.

- Umarło? - spytał.

Pokręciła głową, odetchnęła głęboko, sięgnęła po filiżankę, upiła łyżeczek i spojrzała na niego.

- I nie wiem, czy to dla niego lepiej, czy gorzej - powiedziała cicho.

- A może być coś gorszego?

- Tego właśnie nie wiem - przyznała, odstawiając filiżankę i potrząsając bezradnie głową.

Gib otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Wtuliła głowę w jego pierś. Zaczął ją gładzić jedną ręką po włosach, a drugą po ramieniu.

Przekrzywiła głowę, a wtedy spotkały się ich oczy. Nie wytrzymał. Pochylił się i pocałował ją.

Odepchnęła go i wyprostowała się w fotelu, przeczesując palcami włosy. Spojrzała na niego gniewnie.

- Jesteśmy w pracy, Gib - przypomniawszy. - To nie czas ani miejsce na takie głupoty.

- Uważasz to za głupotę? - spytał odruchowo. Westchnęła i pokręciła głową.

- Sama nie wiem - mruknęła. Wziął ją za rękę.

- Masz rację, to się więcej nie powtórzy, ale pomyślałem sobie, że to ci dobrze zrobi. Niewinna pieszczota, przytulenie, przyjacielski pocałunek.

- Przyjacielski?

Uniosła brwi i znowu potrząsnęła głową. Potem sięgnęła po filiżankę, opróżniła ją jednym haustem i opowiedziała mu o kobiecie przywiezionej na oddział ratunkowy.

- Pierwszy raz masz do czynienia z taką sytuacją? Kiwnęła głową.

- Ale wiem, że już tak robiono, nie mam jednak wyrobionego zdania na ten temat, Gib - przyznała.

- Tak, wiem, że decyzję powinien podejmować mąż tej kobiety, członek rodziny, komisja etyki, nie ja. Ale przecież to ja jestem na pierwszej linii frontu.

Gib dotknął jej ramienia.

- Spokojnie, wszyscy miewamy takie momenty - rzekł łagodnie. - I przyznam ci się, że i mnie nachodzą czasami takie wątpliwości. Wiemy, że podtrzymywanie matki przy życiu zwiększa szanse płodu, a jeśli chodzi o kwestie moralne czy etyczne, to już nie nasza działka, Sophie. Jako lekarze musimy słuchać tych, którzy znają i kochają tę kobietę. Oni podejmą ostateczną decyzję.

- Czy znamy swoich bliskich na tyle, żeby wiedzieć, czego by sobie w takich sytuacjach życzyli? - spytała Sophie, podnosząc wzrok na mężczyznę, który starał się wyprowadzić ją z tego labiryntu wątpliwości, mężczyznę, którego... tak, bezsprzecznie, kocha i który całował ją z takim żarem, ale nie proponował niczego więcej. - Czy swoją żonę znałeś na tyle, żeby orzec z całą pewnością, że rozmyślnie zderzyła się z tamtą ciężarówką? Nie odniosłam takiego wrażenia, kiedy

mówiłeś mi, jak zginęła, a mimo to sobie przypisujesz winę, że zginęła.

Dotknęła jego palca tam, gdzie odznaczył się ślad po ślubnej obrączce. Potem spojrzała w jego niebieskie oczy i dostrzegła w nich ból, jaki wywołało jej pytanie.

Skłęła się w duchu i spróbowała to odwrócić.

- Wiesz, Gib, mam swoją teorię na temat chorób psychicznych. Myślę, że ludzie za często zapominają, że to choroba. Weź taki nowotwór. Leczenie czasami pomaga, czasami nie. Kiedy nie pomaga, pacjent umiera, choćbyśmy wychodzili z siebie. W przypadku ludzi dotkniętych chorobą psychiczną jest tak samo. To choroba jak każda inna.

Wstała i pocałowała go w policzek.

- Nie obwiniaj się - powiedziała cicho i wyszła.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Carly, Kristie i Angus mają podwyższone poziomy bilirubiny. Aplikujemy im fototerapię?

- No nie! - zaprotestowała Sophie. - Dziś wtorek. Z mojego horoskopu wynikało, że wtorek będę miała szczególnie udany, a ledwo przekroczyłam próg, ty mi wyjeżdżasz z czymś takim!

Pielęgniarka zajmująca się trojaczkami uśmiechnęła się, a Sophie, chcąc nie chcąc, odwzajemniła ten uśmiech, ujęta faktem, że personel oddziału zdążył się już przywiązać do nowych podopiecznych na tyle, że nazywa je po imieniu.

Przejrzała wyniki badań i chociaż poziomy, o których mówiła pielęgniarka, nie były alarmująco wysokie, uznała, że lepiej na zimne dmuchać i bezzwłocznie podjąć kurację.

- Jeden kocyk do fototerapii w użyciu, prawda?

- Tak, Dzidzius Neilsen na nim leży.

Sophie znowu się uśmiechnęła. Rodzice Dzidziusia Neilsena do tej pory debatowali, jakie imię nadać swojemu synkowi, a ten miał już pięć dni.

- Nadal się nie zdecydowali? - zapytała. Pielęgniarka zachichotała.

- Wczoraj wieczorem stanęło na Michaelu Johnie, ale dzisiaj w porze śniadaniowej był już Bradleyem Johnem.

- Jeśli tak im zależy na tym Johnie, to niech mu dadzą po prostu John i rzecz załatwiona, nie?

- Odpada, bo to imię dziadka od strony ojca, ma być drugie. Następnemu dziecku, oczywiście jeśli się nie rozwiodą przed wypisaniem ze szpitala tego, dadzą na drugie, w zależności od płci, imię jej ojca albo matki.

Sophie westchnęła ciężko. Całe szczęście, że stan zdrowia Dzidziusia Neilsena jest stosunkowo dobry, bo jego rodzice zajęci są bardziej wymyślaniem mu imienia niż nim samym.

- No to zaczynamy tę fototerapię... - Sophie zawahała się i jeszcze raz spojrzała na wyniki badań. - Po jednym. Na pierwszy ogień idzie... Kristie. Zasłoń jej oczy i genitalia, sama też się zabezpiecz i obracaj ją regularnie.

Przechwyciła pełne wyrzutu spojrzenie pielęgniarki i uśmiechnęła się.

- Tak, wiem, jajko kurę uczy, ale na wszelki wypadek wolę to za każdym razem powtarzać. Kto wie, czy nie trafię kiedyś na młodą niedoświadczoną pielęgniarkę, która nie zna procedury. Pozwól zatem, że dokończę ten instruktaż i przypomnę ci, że zabieg powoduje odwodnienie, podawaj jej więc dużo płynów. Gdyby Helen chciała być przy tym obecna, zadbaj, żeby włożyła okulary przeciwsłoneczne i czapkę. Ja zajrzę do Dzidziusia Neilsena...

- Szukałem cię wczoraj wieczorem.

Sophie nie musiała się oglądać. Poznała Giba po głosie.

- Wyszliśmy z Thomasem do miasta - mruknęła, przekładając kartki z wynikami badań trojaczków.

- Tak też sobie pomyślałem... Jest już decyzja w sprawie tej twojej ciężarnej z wypadku.

- Wiem. - Sophie kiwnęła głową. Nieszczęsna kobieta leżała na oddziale intensywnej terapii podłączona do aparatury podtrzymującej życie. - I cieszę się przez wzgląd na dziecko.

- Ale nadal masz wątpliwości? Spojrzała na niego z półuśmiechem.

- Żałosne, prawda? Dorosła kobieta, lekarka z doświadczeniem, a nie wie, co o tym myśleć.

- To nie jest typowa sytuacja - zauważył Gib.

- Nawet dla doświadczonego lekarza. Chociaż my, mając na co dzień do czynienia z wcześniakami, spotykamy się od czasu do czasu z podobnymi dylematami.

Sophie uśmiechnęła się.

- Z tym akurat nie mam żadnych problemów

- zapewniła go. - W idealnym świecie przeżyłyby wszystkie nasze dzieci, ale niestety, on nie jest idealny. Staram się więc pomagać im wszystkim, jak potrafię, ale mam świadomość, że nie w każdym przypadku przyniesie to pożądany rezultat. Zauważyłeś, że niektóre noworodki to... jakby je tu określić... twardziele? Nawet te najmniejsze, najmizerniejsze z nich przychodzą na świat z niezłomną wolą życia i widać to od samego początku. Na pierwszy rzut oka można rozpoznać takiego, który nie podda się bez walki.

- Te, które wolą umrzeć, też można na pierwszy rzut oka rozpoznać - powiedział cicho Gib i chociaż Sophie wiedziała z doświadczenia, że tak jest w istocie, że niektóre noworodki rzeczywiście nie chcą żyć i nic ani nikt nie jest w stanie ich uratować, to nie miała pewności, czy Gib, mówiąc to, miał na myśli dzieci.

Czy może swoją żonę?

- W ciągu godziny powinniśmy mieć z powrotem drugą lampę do fototerapii. Kogo pod nią dać?

Powrót pielęgniarki przerwał i rozmowę, i spekulacje Sophie.

- Następna idzie Carly, ale skoro ty zajmujesz się Kristie, to potrzebna nam będzie druga pielęgniarka dla Carly i ktoś, kto posiedzi przy Angusie, kiedy zostanie sam. On nie lubi rozstań z siostrzyczkami.

- Każę to zorganizować Albertowi - powiedziała pielęgniarka i oddaliła się.

Sophie rozejrzała się za Gibem. Pochylił się nad inkubatorem Mackenzie. Pomaszerowała w przeciwnym kierunku, by wyjaśnić Helen i Danowi, jakiej kuracji i dlaczego akurat takiej zamierzają poddać Carly, Kristie i Angusa.

Gib dogonił ją przy windach.

- Może zjemy razem lunch. Mamy do pogadania.

- Przepraszam, ale jestem już umówiona.
- A wieczorem? Moglibyśmy zostawić Thomasa z Etty i pójść gdzieś na kolację.
- Przepraszam, ale dzisiaj naprawdę nie mogę. Mam spotkanie...

Odwrócił się i odszedł, zanim zdążyła cokolwiek mu wyjaśnić. Wytłumaczył, że nie chodzi o jakąś romantyczną randkę, tylko o kolację z przyjaciółmi Hilary w sprawie mszy za jej duszę.

Przełknęła z trudem i skręciła w pierwsze napotkane drzwi, które, jak się okazało, prowadziły do damskiej toalety.

- Och, Hilary, tak mi ciebie brakuje - wymruczała, przyciskając czoło do chłodnego lustra. - Czy ten tydzień tak mi się nie układa dlatego, że tyle o tobie myślę?

- Rozmawiasz sama ze sobą?

Z jednej z kabin wyszła Marty Cox.

- Gorzej - odparła Sophie. - Ze swoją nieżyjącą siostrą.

- Oj, dlaczego zaraz gorzej - fuknęła Marty, opłukując dłonie. - Według mnie to całkiem ludzkie. Chociaż moje przyrodnie siostry są tak zakręcone, że chyba nawet gdyby umarły, nie zdecydowałabym się prosić ich o radę.

Sophie roześmiała się, umyła ręce, ochlapała wodą twarz i wytarła się papierowym ręcznikiem.

- Idę na lunch. Jesteś wolna? Zjesz ze mną?

- Z miłą chęcią - powiedziała Sophie.

- Na co umarła twoja siostra? - spytała Marty, kiedy siadały z wybranymi daniami przy stoliku w kącie stołówki.

- Na raka piersi.

- To rodzinne? Sophie pokręciła głową.

- Robiłam sobie badania genetyczne i wynika z nich, że mnie to nie dotyczy. - Woląla zmienić temat.

Zapytała Marty o kobietę, przy której się poznały.

- Jest teraz moją pacjentką. Samochodem kierował facet, który nie jest jej mężem. Mąż pracuje gdzieś za granicą i nie może przyjechać. A może nie mogą się z nim skontaktować. Decyzję w sprawie dziecka podjęli jej rodzice. Nie wiem, kim jest dla niej ten kierowca, ale wypisali go właśnie z intensywnej terapii, a on jest tak przybity jej stanem, że nie czuje się na siłach jej odwiedzić. Jego odwiedzało sporo osób, ale do niej, nie wiem czemu, nikt nie zajrzał.

- Bo to nie takie proste - powiedziała Sophie.

- Nie wiem, jak bym się zachowała, gdyby to była moja siostra. Z Hilary było inaczej. Zdążyłam się przygotować na jej odejście. A tutaj w grę wchodzi jeszcze dziecko.

Gib zamówił kanapki i spożył je w swoim gabinecie, wmawiając sobie, że to całe szczęście, że Sophie nie chciała zjeść z nim lunchu, jak również kolacji. Po co w ogóle jej to proponował. Czyżby ta kobieta o długich czarnych włosach i zamglonych szarych oczach rzuciła na niego jakiś urok?

Nie powinien był jej całować.

- Niech to szlag! - zaklął, odruchowo odbierając telefon, który w tym momencie zadzwonił.

- Słucham?

- O, przepraszam, Claudio, to nie było do ciebie.

- Chciałam cię tylko zawiadomić, że w ten piątek o czwartej jest msza żałobna w intencji Hilary Cooper - rzekła Claudia i podała mu adres małej kapliczki, w której msza miała być odprawiona.

- To Hilary nie żyje?

- Jak to? Nie wiedziałeś?! Zmarła biedna prawie rok temu na raka piersi.

Współczucie w głosie Claudii nie było do końca autentyczne, nigdy zbytnio się z Hilary nie lubiły.

- Ale o tym, że wróciła do Sydney, wiedziałeś? Tak, wiedziałeś, to było jeszcze przed twoim wyjazdem. No więc



chorobę zdiagnozowano już tam. Leczyła się, oczywiście, ale po trzech latach odeszła. Tak czy owak pomyślałam sobie, że powinnam cię zawiadomić.

Tak, a korzystając z okazji, odnowić kontakt ze mną, pomyślał Gib. Kiedy rozpoczął pracę w instytucie badawczym, Claudia nie ukrywała, że jest nim zainteresowana i dawała mu nawet do zrozumienia, że nie przeszkadza jej, że jest żonaty.

- Dziękuję za powiadomienie, Claudio. Postaram się przyjść.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy cię zobaczę - zaszcebiotała słodko.

Gib odłożył słuchawkę, a potem długo wpatrywał się w telefon.

Hilary nie żyje. Lubił ją, podziwiał jej hart ducha, oddanie pracy zawodowej...

Wsparł czoło na dłoni i zamyślił się.

Czyżby zaszła w ciążę? Zmiany hormonalne w tym stanie mogą u młodych kobiet wywołać raka piersi.

Pragnęła dziecka, przypomniał sobie, i obudziło się w nim poczucie winy.

Ale czy się go doczekała?

Czy je poczęła?

Nie miał pojęcia, może na tej mszy dowie się czegoś więcej...

- Pacjenci w przychodni czekają.

Do gabinetu zajrzała Marilyn. Nie słyszał, żeby pukała.

- Już idę.

- Źle się pan czuje?

Gib zdobył się na uśmiech mający rozproszyć obawy pani Jackson.

- Jakiś pan rozkojarzony - nie dawała za wygraną, chociaż dopiero co z całą elokwencją tłumaczył jej, skąd u wcześniaków kłopoty z uzębieniem.

- Przepraszam - bąknął, spoglądając jeszcze raz na mleczne ząbki wyzynające się z małych dziąsełek Ellie. - Jak wiadomo, to stres i choroba mogą się przyczyniać do opóźnienia i zaburzeń w formowaniu się zębów. Szkliwo nazębne tworzy się w ostatnich miesiącach ciąży, z wapnia i fosforu, a więc wcześniaki mogą mieć niedobór tych minerałów, kiedy wyzynają im się ząbki. Ale zazwyczaj dotyczy to tylko zębów mlecznych. U Ellie, chociaż ma teraz zęby szarawe i nieco nadpsute, te drugie powinny już być w porządku.

Gib pogłaskał dziewczynkę po główce, a ta pobiegła w kąt pokoju, zdjęła z półki pudełko z puzzlami, usiadła przy niskim stoliczku i zaczęła je układać.

- A jak nie będą?

- Cóż, może się tak zdarzyć. A wtedy najbardziej zagrożone są siekacze i zęby trzonowe, które rosną w szóstym roku życia. Więcej na ten temat powie pani stomatolog dziecięcy. Radziłbym zawczasu udać się do niego z Ellie. Pouczy ją przy okazji, jak ma dbać o zęby.

- Czy będzie musiała nosić aparat? Gib uśmiechnął się do pani Jackson.

- Nie tylko rodzice wcześniaków o to pytają.

Podaję już, że wszyscy z nich z duszą na ramieniu myślą o dniu, w którym koszt aparatu obciąży ich domowy budżet. Nie potrafię odpowiedzieć pani na to pytanie i wątpię, żeby stomatolog to potrafił, dopóki te nowe zęby nie urosną. Gdyby jednak w przyszłości jej jedynym problemem było noszenie przez jakiś czas aparatu, to można by powiedzieć, że w czepku się urodziła. Pani Jackson roześmiała się.

- Ma pan rację. Może robię z tego aparatu problem, żeby nie myśleć o innych. W przyszłym roku ona idzie do szkoły. To już niedługo, i jestem przerażona. Boję się, że nie da sobie rady, że dzieci będą się z niej naśmiewać...

- To normalne obawy - stwierdził łagodnie Gib - ale zupełnie nieuzasadnione. Ma przecież kolegów i koleżanki z przedszkola, z którymi rozpocznie naukę, a do tego jest bardzo towarzyska, wątpię więc, żeby ktoś jej w szkole dokuczał. Bardziej prawdopodobne, że jako mniejsza od rówieśników będzie przez dzieci traktowana w specjalny sposób. - Urwał na moment. - Nie wiemy, jak będzie jej szła nauka, ale w żłobku i przedszkolu nieźle sobie radziła. Niech pani na nią spojrzy, układanie tych puzzli nie sprawia jej większych trudności.

- Podniósł mnie pan trochę na duchu - powiedziała pani Jackson, wyjmując z torebki chusteczkę do nosa. - Dziękuję, doktorze.

Otarła oczy, schowała chusteczkę i dodała:

- Zdaje pan sobie chyba sprawę, że większość nas, rodziców, przychodzi do pana nie tyle z problemami zdrowotnymi swoich dzieci, co po dobre słowo.

- Czasami tak mi się wydaje - przyznał Gib, wstając i otaczając panią Jackson ramieniem. Ellie podbiegła i wzięła mamę za rękę - Przychodźcie, kiedy tylko chcecie.

- Miałś dać doktorowi Gibowi prezent - przypomniała córeczce pani Jackson.

Dziewczynka otworzyła różową dziecięcą torebkę i wyciągnęła z niej małe zawiniątko. Gib bez rozpakowywania wiedział, że to woda po goleniu.

- Bardzo dziękuję - powiedział.

Zbierał podobne prezenty przez całe popołudnie i pod koniec dyżuru. Patrząc na ich piętrzącą się na biurku kupkę, przypominał sobie, że nie ma jeszcze upominków dla swojej rodziny.

A w sobotę ma pomagać Thomasowi w ubieraniu choinki. Niedziela... Tak, w niedzielę wybierze się po zakupy. Mama, tata, ciocia Etty, Pritchardowie i Marilyn. Czy dopisać do tej listy Thomasa? Wypadałoby. Przecież Gwiazdka jest dla dzieci, a on coraz bardziej tego chłopca lubi.

Szkoda, że jest za mały na prezent w postaci wody po goleniu!

- To wszystko chyba dla ciebie.

Do pokoju weszła Sophie i położyła na biurku jeszcze jeden stosik prezentów.

- Dziękuję - mruknął, a ona zachichotała, słysząc w jego głosie rezygnację.

Ale widok prezentów, Thomas i ta choinka... Zaraz, zaraz...

- Co robisz w Boże Narodzenie? Zaskoczyło ją chyba to pytanie.

- Jeszcze się nie zastanawiałam - odparła. - Jeśli chcesz, to mogę wziąć w święta dyżur. Thomas jest za mały, żeby rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, i na pewno go to nie obejdzie. Prezenty rozpakuje choćby dzień albo i dwa później, a potem wybierzemy się może na piknik do parku...

- Nie masz tu przyjaciół, do których mogłabyś pójść? Rodziny?

Nie był specjalnym miłośnikiem świąt Bożego Narodzenia, zawsze uważał, że robi się wokół nich za dużo szumu, ale rano chodził zazwyczaj do rodziców Gillian, potem wpadał do swoich rodziców - a tam siostry, siostrzenice i siostrzeńcy, a teraz jeszcze ich chłopcy i dziewczyny tych starszych - jednym słowem młyn.

A więc ciche „nie” Sophie go zastanowiło.

- Jeśli naprawdę nie masz nic przeciwko świątecznemu dyżurowi... - zaczął ostrożnie.

- Nie mam - zapewniła go. - Święta możemy obejść z Thomasem nazajutrz albo w przeddzień.

Chociaż mówiła to swobodnym tonem, Gib wychwycił w nim nutkę przygnębienia, ale zanim zdążył coś powiedzieć, wyszła z pokoju. Pewnie żeby się przygotować na spotkanie z tym, z kim jest umówiona. Potrząsnął głową.

Za dużo nie związanych ze sobą myśli się po niej tłucze. Pojedzie teraz do domu. popływa...

I co dalej?

Zadzwoni do Claudii?

Ona bez wahania dałaby się zaprosić na kolację.

Cholera! Lepiej już zostać w domu i pogapić się w telewizor.

A więc wróci do domu, popływa, a o rozrywkach pomyśli później.

- No, nareszcie! - powitała go Etty. - Właśnie mężczyzny było mi potrzeba. Piekę ciasto na święta, a Thomasowi trzeba przeczytać bajkę do poduszki. Nie wyręczyłbyś mnie?

- W pieczeniu ciasta? O nie!

- W czytaniu bajki! Idź do niego!

Poszedł, ale wchodząc do zajmowanej przez Sophie i Thomasa części domu, czuł się jak niepożądany gość.

Była dziwnie bezosobowa. Gdyby nie porozrzucane zabawki, można by pomyśleć, że nikt tu nie mieszka.

To wrażenie znikło, kiedy wszedł do pokoju Thomasa i zobaczył barwne plakaty na ścianach i przytulanki na szafce. I jeszcze więcej zabawek w wiklinowym koszu stojącym obok łóżka.

- O, Gib! - ucieszył się malec - Przyszedłeś mi poczytać?

- Tak - powiedział, siadając na brzegu łóżka i wyjmując malcowi z rąk ilustrowaną książeczkę. - O czym jest ta bajka?

- O słoniu - odparł Thomas. - Lubię słonie. Sięgnął po wystrzępionego pluszaka, który swego czasu może i

przypominał słonia, przytulił go do siebie i spojrzał wyczekująco na Giba, ale ten, zamiast w książeczkę, wpatrywał się jak zahipnotyzowany w fotografię stojącą na nocnym stoliczku.

- Kto jest na tym zdjęciu? - wykrztusił wreszcie. Thomas pogładził paluszkami twarz uśmiechniętej kobiety.

- To moja mamusia - oznajmił i znowu przeniósł wzrok na Giba. - Tak naprawdę to ja jej nie pamiętam, chyba była bardzo chora. Sophie mówi, że bardzo, ale to bardzo mnie kocha, ale to mamusie powinny kochać dzieci, prawda? No, czytaj już tę bajkę.

Czytać bajkę?

Jak tu czytać?

Jak tu w ogóle wysiedzieć?

A Sophie?

Czy wie?

Czy specjalnie to przed nim ukrywa?

A może tu nie ma nic do ukrywania?

- O słoniu - ponaglił ze zniecierpliwieniem Thomas.

Gib otworzył książeczkę i zaczął czytać, odrywając co i rusz wzrok ód tekstu, by spojrzeć na chłopczyka, a potem na fotografię jego matki - roześmianej kobiety, która kiedyś poprosiła jego, Giba, o przysługę...

Przysługę, przed wyświadczeniem której początkowo się wzbraniał...

Thomas zasnął, nie doczekawszy końca bajki, ale Gib dalej przy nim siedział, wpatrując się w twarzyczkę śpiącego chłopca okoloną jasnymi kędziorkami. On sam na fotografiach z dzieciństwa też miał takie kędzierzawe włosy, co prawda ciemne, nie jasne, ale kędzierzawe.

Włosy to jeszcze nie dowód. DNA, zrobi badania DNA! Zmroził go sam pomysł pobrania od tego dzieciaczka próbki do badań.

Zamknął książeczkę, ułożył zmalretowanego słonia obok śpiącego chłopca, nakrył obu i pochylił się, by złożyć pocałunek na miękkim dziecięcym policzku. Z pustką w głowie wrócił do kuchni, gdzie Etty wyjmowała właśnie z piekarnika blachę z ciastem.

- Wiedziałaś, że Sophie nie jest matką Thomasa? - zapytał.

Ściągnięte brwi Etty uświadomiły mu, że mówi za głośno.

- Biologiczną nie, ale podejrzewam, że jedyną, jaką ma. Pokazał mi fotografię swojej matki i powiedział, że umarła. Z tego, co wydedukowałam, wynika, że była siostrą Sophie.

Ale przecież Hilary nosi nazwisko Cooper, pomyślał Gib, lecz potem przypomniał sobie, że kiedy proponował Hilary małżeństwo, ta odparła: „Nie jestem genetycznie zaprogramowana na małżeństwo, Gib. Moja matka jest już zameżna trzeci raz, ojciec czwarty raz żonaty, a ja w ogóle nie zamierzam iść do ołtarza”.

- Pytałaś Sophie, co się z nią stało? Etty znowu ściągnęła brwi.

- Niby po co?

Teraz brwi ściągnął Gib. I wywarczał:

- A choćby dla zaspokojenia zwyczajnej babskiej ciekawości!

- Sophie jest bardzo skryta - powiedziała cicho Etty. - Wolałam nie naciskać. A poza tym jest teraz bardzo spięta. Ty może tego nie zauważyłeś, ale ja widzę. Organizuje coś w piątek. Zaczęła mi o tym opowiadać, ale wpadł Thomas i nie dokończyła. Nic ci nie mówiła?

O tej mszy za zmarłą siostrę? Słówkiem nie wspomniała.

- Nie mamy zbyt wielu okazji do pogawędek - odburknął, tłumiąc wzbierającą wściekłość.

- To może powinieneś takich okazji poszukać - zauważyła Etty. - Zwłaszcza teraz, kiedy przestałeś nosić obrączkę.

- Idę popływać - warknął.

Odwrócił się na pięcie, zbiegł na dół, rozebrał się i wskoczył do basenu. Ale zimna woda nie odpędziła wspomnień.

Z początku odmówił Hilary. Nie, nie i jeszcze raz nie. Był żonaty i ani myślał poczynać pozamałżeńskiego dziecka ani zdradzać Gillian.

Potem Gillian zginęła i wraz z jej śmiercią zmieniła się sytuacja.

Hilary zarzekła się, że nie będzie miała wobec niego żadnych roszczeń, że dziecko będzie jej i tylko jej. Ustąpił, obiecując ze swej strony, że nigdy nie będzie sobie rościł praw do dziecka, nigdy nikomu nie wyjawia, że to on jest jego ojcem. Był załamany po śmierci Gillian i ta obietnica łatwo mu przyszła.

W całym tym emocjonalnym wirze nie pomyślał o dziecku. Czy pozbawiając je ojca, przyrzekając sobie, że nie wyjawia, kim jest, są wobec niego fair?

Nie, nie są...

Ale teraz Hilary nie żyje i sytuacja się zmieniła. Wraz z jej śmiercią układ przestał obowiązywać.

Musi to powiedzieć Sophie, ale jak? Kiedy?

Zawrócił i popłynął w przeciwnym kierunku.

Sophie weszła do cichego domu i w pierwszym rzędzie zajrzała do pokoju Thomasa. Uśmiechnęła się na widok śpiącego cherubinka i pochyliła się, by cmoknąć go w policzek.

- Jeszcze dwa dni, Thomas - szepnęła. - Dwa dni, i może dowiemy się czegoś o twoim tatusiu.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy nadszedł piątek, Gib większość swoich przypuszczeń miał już zrationalizowanych. Po pierwsze wychodzi na to, że Hilary Cooper dotzymała ze swojej strony układu, który zawarli - nie wyjawiała nikomu, kto jest ojcem jej dziecka.

A już na pewno nie wie tego Sophie.

Sam nie mając stuprocentowej pewności, czy Thomas jest jego synem, wygrzebał zakurzony album z pamiątkowymi zdjęciami, który dostał od matki na dwudzieste pierwsze urodziny, i studiował fotografie przedstawiające jego, kiedy miał trzy latka, starając się doszukać podobieństwa.

Czas by się zgadzał...

Od samego rana gnębiło go pytanie, dlaczego Sophie nawet mu nie napomknęła o tym, że zamówiła mszę za duszę swojej zmarłej siostry.

Z drugiej strony, czemu miałyby mu to mówić?

O trzeciej trzydziści wyszedł ze szpitala i pojechał do małej kapliczki na wzgórzu na przedmieściach, nie do końca jeszcze pewien, po co.

Bo tak wypada, tłumaczył sobie, znał ją przecież, ale wiedział, że przede wszystkim w nadziei, że dowie się czegoś bliższego o dziecku - czegoś, o czym już w zasadzie wie. A przynajmniej się domyśla.

A może żeby wesprzeć Sophie.

Tylko czy ona go prosiła o wsparcie?

Odpędził od siebie te bezsensowne spekulacje i skoncentrował się na prowadzeniu. Ruch na drodze był większy, niż przypuszczał, co kilkaset metrów tworzyły się korki.

Sophie zeszła z mównicy, oddając głos Pauli, najlepszej przyjaciółce Hilary z instytutu, i miała już zająć swoje miejsce, kiedy zobaczyła go w drzwiach.

Gib? Tutaj?

Skąd wie?

Przyszedł ją wesprzeć?

Ciepło jej się zrobiło na duszy. Ostatnio rzadziej go widywała - miał w szpitalu jakieś narady, a wczoraj nocny dyżur - ale teraz...

Rozejrzała się, zastanawiając, czy wśród obecnych jest mężczyzna, którego Hilary pokochała i wybrała na ojca swego dziecka.

Paula skończyła i poprosiła wszystkich o powstanie i odśpiewanie ulubionej kolędy Hilary, „Cichej nocy”. Zbliżało się przecież Boże Narodzenie.

Kolęda dobiegła końca, ludzie zaczęli opuszczać kaplicę. Sophie, której wzruszenie ścisnęło krtań, zamiast ruszyć z innymi do wyjścia, usiadła z powrotem, hamując napływające do oczu łzy.

- Sophie - powiedział ktoś cicho, dotykając jej ramienia.

Obejrzała się. Obok siedział Gib. Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Płacz, Sophie, płacz - mruknął. - Czasami dobrze się wypłakać.

Wtulila się w niego, otarła grzbietem dłoni oczy i pociągnęła nosem.

- Ojej, przepraszam. Wierz mi albo nie, ale do tej pory nie zaliczałam się do osób skorych do płaczu. Teraz jakby mi to wchodziło w nawyk... a co gorsza, w nawyk wymagający czyjegoś pocieszenia.

- Jeśli o to chodzi, to na mnie zawsze możesz liczyć - zapewnił ją cicho.

- Dziękuję, że przyszedłeś. - Sophie spróbowała wziąć się w garść i odsunąć, ale on dalej ją do siebie przyciągał. - To już rok, i byłam pewna, że sobie poradzę. Nie rozumiem, jak mogłam się tak rozkleić.

Powinna go spytać, skąd się dowiedział o uroczystości i dlaczego przyszedł, ale doszła do wniosku, że to właściwie bez znaczenia.

- Zabiera pani kwiaty?

Zaskoczona Sophie oderwała się od Giba i spojrzała na mężczyznę, który zadał to pytanie.

- Mógłby je pan odesłać do szpitala? - wykrztusiła, zrywając się z miejsca jak oparzona.

- Do którego?

Tu, na szczęście dla Sophie, pałeczkę przejął Gib. Podał mężczyźnie nazwę i adres szpitala, wziął Sophie pod rękę i wyprowadził ją z kaplicy.

- Zostawmy tu twój samochód - zaproponował, kiedy znaleźli się na zewnątrz. - Wrócimy po niego jutro rano.

Sophie nie oponowała. Rozglądała się z przerażeniem po parking, który już opustoszał.

- Kompromitacja! - wyrzuciła z siebie. - Powinnam stać z Paulą przy wyjściu i dziękować ludziom za przybycie, a ja...

- Zrozumięją - zapewnił ją Gib rad, że siedzieli w kaplicy na tyle długo, że Claudia zdążyła ją opuścić i odjechać. - A zresztą masz księgę gości, a w niej adresy i nazwiska wszystkich uczestników. Możesz im podziękować listownie.

Sophie kiwnęła głową.

- To prawda.

Gib otworzył drzwi samochodu, zaczekał, aż Sophie usadowi się w fotelu pasażera, po czym zajął miejsce za kierownicą, nachylił się i złożył delikatny pocałunek na ustach swojej pasażerki. - Myślę, że nam obojgu dobrze by zrobił spacer plażą - powiedział.

- Plażą? To w Brisbane jest plaża?

- Nie, ale Złote Wybrzeże ma pięćdziesiąt kilometrów plaż, a to niecałe pół godziny drogi stąd.

- Musiałabym powiadomić Etty...

Wręczył jej bez słowa swój telefon komórkowy. Zawahała się. Spacer z Gibem po plaży o zachodzie słońca? Znowu pocałunki i pieszczoty?

- Lepiej wróć do domu - mruknęła. - Wiem, że Thomas uwielbia Etty, ale mam poczucie winy, kiedy go zostawiam, a nie jest to związane z pracą.

- Etty planowała robić dzisiaj girlandy z prażonej kukurydzy do ozdobienia choinki. Myślisz, że Thomas przy takim pracochłonnym i odpowiedzialnym zajęciu zauważy twoją nieobecność?

Odebrał od niej telefon, sam wystukał numer i oddał jej aparacik, żeby porozmawiała z chłopczykiem.

Miał rację. Thomas był tak zaaferowany procesem niania ziarenek prażonej kukurydzy na nitkę, że nawet nie chciał z nią rozmawiać.

- Etty jest cudowna - powiedziała Sophie, wsuwając telefon w podstawkę między fotelami. - Jestem ci niezmiernie wdzięczna, że mi ją poleciłeś. Za wynajęcie mieszkania też, bo to bardzo ułatwia sprawę.

Kiedy ruszał w stronę wyjazdu z parkingu, przyłożyła dłoń do jego policzka.

- Dziękuję za wszystko.

Skupiając się całą siłą woli na prowadzeniu, włączył się do ruchu.

Czy to mogłoby się udać? Czy wiążąc się z inną kobietą, potrafiłby uniknąć błędów, które popełnił w stosunku do Gillian? Czy Sophie miała rację, twierdząc, że niektóre choroby psychiczne i wynikające z nich konsekwencje są nie do uniknięcia?

Czy potrafiłby przyjąć to do wiadomości, a potem zdobyć się na odwagę i...

Poprosić Sophie o rękę?

Tak, to by było idealne rozwiązanie, uświadomił sobie, wjeżdżając ślimakiem na autostradę. Za jednym zamachem odzyskałby swojego synka i miał Sophie, która, co tu ukrywać, coraz bardziej go pociągała. Tylko czy ona przyjąłaby jego oświadczenia?

Ta myśl sprawiła, że odruchowo ściągnął brwi i zacisnął mocno wargi.

- Coś cię gnębi? - spytała z niepokojem Sophie. - Chodzi o Mackenzie?

- Nie, nie o Mackenzie - zapewnił ją. Najchętniej już teraz zwierzyłby się jej z tego, co mu chodzi po głowie, ale musiał najpierw uporządkować tę galopadę myśli w jakiś spójny, logiczny ciąg.

Sophie nie naciskała. Odchyliła się po prostu na oparcie fotela i zamknęła oczy.

- Jesteśmy na plaży! - oznajmił po jakimś czasie Gib, skręcając na parking w Narrowneck i uśmiechając się z zadowoleniem na widok długiej, szerokiej, o tej porze praktycznie bezludnej wstęgi piasku odsłoniętej przez odpływ.

Zdjął buty, podwinął nogawki spodni, wyskoczył żwawo z samochodu i pomógł wysiąść Sophie. Zaczekał, aż zdejmie sandały, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą po drewnianym pomoście, który prowadził przez wydmy, chroniąc je przed zdeptaniem.

Kiedy dotarli do właściwej plaży, wyrwała mu rękę i sadząc długie susy, pognęła w kierunku wody. Podkasując spódnicę do połowy ud, wbiegła na przybrzeżną płytciznę.

- Och, Gib! - zawołała, odwracając się z promiennym uśmiechem na ustach. - Tego właśnie było mi trzeba!

Wyrzuciła w górę rękę, tak jakby chciała dosięgnąć nieba i wziąć je w objęcia wraz z piaskiem i morzem, potem puściła się biegiem wzdłuż brzegu, rozbryzgując wodę na wzbijające się w powietrze diamentowe kropelki. Gasnące promienie

zachodzącego za nimi słońca barwiły na ciemny róż niebo, ale to zaczynało już jaśnieć, tak jakby wschodzący księżyc miał lada moment zalać fale swoją srebrzystą poświatą.

Gib wziął znowu Sophie za rękę i brodząc w płytkiej wodzie, ramię w ramię ruszyli przed siebie.

Czy z Gillian kiedykolwiek czuł się taki rozluźniony?

Nie pamiętał.

- Mam wyrzuty sumienia, że po mszy nie wróciłam prosto do domu, do Thomasa - odezwała się Sophie.

- Nie miał żadnych pretensji, kiedy do niego telefonowaliśmy - przypomniał jej Gib. - Czy ty nigdy nie starasz się wygospodarować chwili tylko dla siebie?

Zatrzymał się i przyciągnął ją bliżej.

- Ostatnio nie - szepnęła. - Thomas miał dopiero dwa latka, kiedy zmarła Hilary, i cały obowiązek opieki nad nim spadł na mnie.

Czy powie mu teraz? Powie, że Thomas jest synkiem Hilary i skieruje rozmowę na temat, który prędzej czy później i tak zostanie między nimi poruszony?

Czekał, ale ona odwróciła się i zapatrzyła w horyzont. Czyżby mu nie ufała? A może już się domyśla, że to on jest ojcem Thomasa, i nie chce wyjawić mu prawdy z obawy, że odbierze jej siostrzeńca, którego tak pokochała?

A jeśli tak, to czy aby nie zamierza uciec z malcem, i szukać wtedy wiatru w polu?

Ten scenariusz przyprawił go o zimny dreszcz.

Westchnął mimowolnie. Sophie spojrzała na niego ze zdziwieniem i znowu przyłożyła mu dłoń do policzka.

- Ale teraz mam chwilę dla siebie - powiedziała.

Gib otrząsnął się z zadumy, namacał szpilki podtrzymujące luźno spleciony warkocz, wyciągnął je, wrzucił do oceanu i rozczesał palcami jedwabiste włosy, które spłynęły jej falą na ramiona.

Stawiając wszystko na jedną kartę, przyciągnął ją do siebie i zamknął usta żarliwym pocałunkiem. Oddała mu go, ale trwało to tylko chwilę. Przynajmniej w jego odczuciu. Potem oderwała się od niego i zapytała, siląc się na lekki ton:

- I to ma być ta twoja polityka niezaangażowania? W odpowiedzi pocałował ją jeszcze raz i ruszyli dalej po wilgotnym piasku.

- Spójrz - powiedział w pewnym momencie. Zatrzymali się oczarowani widokiem olbrzymiego czerwonozłotego księżycy, który wylaniał się właśnie z morza za widnokretem.

- Tu, za wydmi, jest taka mała sympatyczna restauracyjka - odezwał się w końcu Gib. - Może wpadniemy tam na smażoną rybę z frytkami? - zaproponował.

- A sprzedają na wynos? Moglibyśmy zjeść na piasku.

Pocałował ją przelotnie.

- To jest myśl!

Wziął ją za rękę i poprowadził przez wydmy.

Spałaszowali ryby z frytkami na plaży, umyli ręce w oceanie, niewiele już rozmawiając pomaszerowali z powrotem do samochodu i ruszyli w drogę powrotną.

Thomas, podniecony myślą, że nazajutrz przywiozą mu choinkę, jeszcze nie spał, zeszli więc na wieczorną kąpiel w basenie.

Thomas znowu popisywał się przed Gibem. Chłopczykowi wyraźnie brakuje ojca, myślała Sophie. Jej i Hilary ojcowie nie za bardzo się udali, ale to jeszcze nie znaczy, że Thomas nie będzie miał większego szczęścia do swojego. Chociaż fakt, że facet wykorzystał Hilary, a potem powiedział, że może sobie robić z dzieckiem, co jej się podoba, a on umywa ręce... tak, to musi być zimny...

- Sophie, patrz! - pisnął z zachwytem Thomas, którego Gib zdjął sobie właśnie z ramion i podrzucał w powietrzu.

Gib byłby wspaniałym ojcem. Zszokowała ją ta myśl. Jak mogła jej przyjść do głowy?

- Sophie, popatrz teraz!

Widziała, jak Gib z Thomasem baraszkują w wodzie i serce jej się ścisnęło, bo to wszystko stawało się zbyt trudne.

Z praktycznego punktu widzenia powinna upomnieć Giba, by za bardzo nie rozbawiał Thomasa przed pójściem do łóżka, z drugiej jednak strony należało się spodziewać, że taka kąpiel z atrakcjami zmęczy go i chłopiec łatwiej zaśnie.

A Gib? Co zamierza robić, kiedy wyjdą z basenu?

Zaproponuje jej spacer nad rzekę. Zabierze się znowu do całowania, jak niedawno na plaży?

- Pora do łóżka - oznajmiła, wyławiając z wody i przytulając podpływającego do niej Thomasa. Chłopczyk objął ją za szyję i przytulił puciołowaty policzek do barku.

- Kocham cię, Sophie - powiedział. - I ciocię Etty też kocham, i Giba też.

Sophie zerknęła na Giba, ciekawa, jak odebrał tę deklarację, i dostrzegła w jego oczach coś dziwnego.

A może to tylko odbłask światła od wody w basenie sprawił, że wydały jej się...

Nie, nie smutne.

Posadziła Thomasa na krawędzi basenu i sama też wyszła z wody. Zawstydzona, szybko owinęła się w talii ręcznikiem. Kiedy wycierała Thomasa, rozbrzęczał się pager.

- To mój - powiedział Gib, otrzepując dłonie z wody i sięgając po aparacik, by spojrzeć na ekran. - Szpital. Mam dyżur pod telefonem, więc mnie chyba wzywają.

Podszedł do telefonu zainstalowanego na ścianie obok małej kabiny prysznicowej. Sophie wzięła Thomasa na rękę.

- Kobieta z bólami porodowymi, trzydziesty piąty tydzień - oznajmił Gib, odwieszając słuchawkę i schylając się po



ręcznik. - Szkoda - dorzucił, uśmiechając się znacząco do Sophie.

Podszedł i cmoknął Thomasa w policzek.

- Dobranoc, mały człowieczku - powiedział i podniósł wzrok na Sophie. - Tobie też życzę dobrej nocy.

Z jego spojrzenia wyczytała, że nie skończyłoby się chyba na niewinnym spacerze nad rzekę.

Thomas obudził się bladym świtem i Sophie nie pozostawało nic innego, jak tylko zabawiać go do dziewiątej, kiedy to miano dostarczyć zamówioną choinkę. Przywiozła z Sydney wszystkie stare ozdoby choinkowe, jakie zebrały z Hilary, kiedy mieszkały z babcią, ale ich choinki były zazwyczaj małe, więc i tych ozdób niewiele.

A to miała być podobno choinka ogromna.

- Widziałaś, co zrobiliśmy z ciocią Etty? - zapytał Thomas, kiedy za pięć dziewiąta Sophie uznała, że pora przejść do pokoju gościnnego.

Pokazał na miskę z nanizanymi na nitkę ziarnami prażonej kukurydzy i Sophie przestała się martwić o niedostatek dekoracji. Kukurydzianej girlandy starczyłoby na ubranie dorodnej sosny.

Etty przywitała ich serdecznie i wskazała wielkie pudło stojące w kącie pokoju.

- Gib nazbierał przez lata mnóstwo ozdób - powiedziała. - Gillian nie zawsze wracała na święta do domu, ale on zawsze stroił drzewko i dekorował pokój.

Sophie uśmiechnęła się w duchu na widok wyraźnie zmęczonego i niewyspanego Giba, który wszedł w tym momencie do pokoju, żeby mimo wszystko spełnić swój dekoratorski obowiązek.

- Dzień dobry wszystkim - powiedział od progu, spoglądając na Sophie.

- Dobrze poszło? - spytała. Kiwnął z uśmiechem głową.

- Największa trzydziestopięcioletnia wcześniaczka, jaką odbierałem. Na wszelki wypadek potrzymamy ją ze dwa dni na obserwacji, ale nie przewiduję żadnych komplikacji. Ale sam poród trwał długo i późno się położyłem.

- Wracaj do łóżka. Sami sobie poradzimy z ubieraniem drzewka.

- Nie ma mowy. Nie dosięgniecie do czubka, prawda, Thomas?

- O, już przywieźli! - zawołała Etty wyglądająca przez kuchenne okno, za którym zatrzymywała się właśnie ciężarówka.

I tak zaczął się dla Sophie ten najsympatyczniejszy od lat dzień.

Gawędzili, śmiali się i jedli przygotowane przez Etty świąteczne potrawy. Thomas udekorował najniższe gałęzie choinki, a potem, podniesiony przez Giba, rozwiesił kukurydzianą girlandę i kolorowe ozdoby wyżej.

Czy potrafiliby stworzyć rodzinę? Pytanie to dręczyło Sophie, chociaż starała się je odpędzić.

Ciesz się z dnia dzisiejszego, powtarzała sobie, ale to nie pomagało. Pragnęła czegoś więcej.

Pragnęła Giba.

Pragnęła rodziny.

Thomas tak się zmęczył, że przespał większą część popołudnia, Gib wrócił do szpitala sprawdzić stan zdrowia nowego noworodka, a Sophie z ociąganiem otworzyła księgę gości, do której wpisali się wszyscy uczestniczący w mszy.

Zamierzała wysłać do tych osób podziękowania za przybycie, tylko co z tymi ośmioma - aż tyloma - mężczyznami, których naliczyła? Ma ustalić numery ich telefonów, dzwonić do każdego po kolei i pytać, czy przed czterema laty nie miał czasem romansu z jej siostrą?

Jeśli dobrze pamiętała, to Hilary napomknęła kiedyś, że ojcem Thomasa jest jej kolega z pracy - ale dzwonić i pytać?!

Odpada!

Że też po zakończeniu mszy musiała się załamać i nie stanęła z Paulą w drzwiach. Może, dziękując osobiście przybyłym, rozpoznałaby jakoś wśród tych mężczyzn tego, którego Hilary pokochała?

Tylko jak? Żaden z nich nie miał przecież przyklejonej do czoła karteczki z oświadczeniem „Kochałem się z Hilary”.

Może też być tak, że facet nie chciał nic wiedzieć o dziecku, bo jest żonaty.

Sophie westchnęła. Co zrobić z tą listą nazwisk, którą tak sprytnie zdobyła?

Paula może by coś doradziła, ale chyba nie wypada dłużej jej fatygować.

Czy jest jakiś inny sposób na ustalenie, z kim z instytutu Hilary była tak blisko, że...

Nie, nie ma!

Zatelefonuje do Pauli, ale nie dzisiaj, jutro. Szkoda psuć taki radosny dzień.

- Urządzamy dzisiaj grilla - oznajmił Gib pod wieczór, kiedy wytropił wreszcie i wymienił przepaloną żaróweczkę w choinkowych lampkach, i te zaczęły w końcu świecić. - Będziemy znad rzeki sycić oczy widokiem naszej wspaniałej choinki.

- Ja ci pomogę - zaoferował się Thomas. Wyszli z Gibem przygotować, co trzeba, a Sophie podreptała do kuchni, by pomóc Etty, chociaż ta o pomoc nigdy nie prosiła i należało liczyć się z tym, że ją stamtąd przegoni.

- Gib i Thomas przypadli sobie do gustu - powiedziała Etty.

Sophie roześmiała się.

- Gib mówił mi, że od śmierci żony nie ustajesz w wysiłkach, żeby go z kimś wyswatać.

Etty pokręciła z uśmiechem głową.

- Przez długi czas było za wcześnie, a potem ubzdurał sobie, że jest odpowiedzialny za śmierć Gillian. A to przecież nie była jego wina - nie on ją do tego popchnął - trudno było o lepszego męża. Ona była po prostu chora, a w tej chorobie zła na Giba, zła na cały świat.

- Choroba psychiczna to coś strasznego - powiedziała cicho Sophie. Etty pokiwała głową.

- O wiele gorszego od rozszczepu kręgosłupa. Gorsza od wszystkiego, gdyby mnie ktoś pytał.

- Gdyby o co ktoś cię pytał?

Wrócił Gib, niosąc Thomasa na barana.

- O rodzaj mięsa, na jakie macie dzisiaj ochotę. Do wyboru mam steki, kielbaski i kurczaka.

- Kielbaski! - wykrzyknął bez zastanowienia Thomas.

Gib namyślał się dłużej i zaproponował dla odmiany kurczaka.

- Z kielbaskami? - spytał z nadzieją w głosie Thomas.

- Będzie i jedno, i drugie - zapewniła go Etty.

Kiedy Thomas już spał, a Etty zmywała, Sophie i Gib zeszli znowu na brzeg rzeki. Usiedli w altance i zaczęli się całować, zachłannie, z żarem, z zapamiętaniem.

- Przy basenie jest solarium - wymruczał Gib, kiedy się od siebie oderwali. - Chodźmy tam, będzie wygodniej...

Odurzona pocałunkami, omal nie przystała na tę propozycję. W ostatniej chwili głos wewnętrzny ostrzegł ją, że to za szybko, że wszystko w swoim czasie. Przecież ten mężczyzna zaledwie przed tygodniem ściągnął z palca ślubną obrączkę.

Cztery lata po śmierci żony!

Żony, którą bez pamięci kochał.

- Jeszcze nie teraz - szepnęła i wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję.

- Masz rację - mruknął, tuląc ją do siebie. - Przepraszam.

I znowu na dłuższą chwilę wpił się wargami w jej usta, rozpalając ją do granic wytrzymałości.

- A gdybym zmieniła jeszcze zdanie? - wydyszała, odsuwając się od niego, by zaczerpnąć tchu.

Roześmiał się w głos.

- Nie dzisiaj - powiedział. - Powtarzam jeszcze raz, że miałaś rację. Takiej decyzji lepiej nie podejmować w nocy. Mamy czas na jej przemyślenie jutro... i pojutrze też, bo muszę lecieć na sympozjum do Sydney.

Pocałował ją znowu, ale tym razem delikatniej.

- Ale w poniedziałek wieczorem, w Wigilię, wracam. Thomas wcześniej pójdzie do łóżka, bo przecież Święty Mikołaj w drodze, i może wtedy coś się między nami wydarzy, moja słodka Sophie. Coś specjalnego pod choinkę.

- W Wigilię może - powiedziała - ale w dzień Bożego Narodzenia na pewno nie, bo mój apodyktyczny szef wyznaczył mi dyżur.

- O kurczę! Zupełnie wyleciało mi z głowy. Mogę to jeszcze odkręcić. Może Yui zgodziłaby się wziąć zastępstwo, albo Rod... Kogo by tu... ? Miałabyś spędzić święta w pracy, zamiast z Thomasem?

Właśnie, Thomas. Powinien z nią o nim porozmawiać, a nie mógł się na to zdecydować. To chciał podzielić się z Sophie swoimi podejrzeniami, to znów tracił pewność, jak zagać taką rozmowę. A jeśli się myli i Thomas nie jest jego synem? A jeśli jest? Nie może tak ni z tego, ni z owego wyjechać z takim tematem...

Musi to sobie jeszcze poukładać w głowie! Może przez te dwa dni rozłąki z Sophie coś wymyśli.

Właśnie, tak będzie najlepiej.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W Wigilię Gib wpadł na oddział jak bomba. Przyjechał prosto z lotniska stęskniony za Sophie. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie mógł porwać jej przy wszystkich w objęcia i obsypać pocałunkami, ale przynajmniej znowu ją zobaczy.

Później zamówi dla nich obojga lunch do swojego gabinetu - coś wykwintniejszego od obślimaczonych kanapek z lodówki serwowanych w stołówce. Następnie w trakcie posiłku opowie jej o sobie i Hilary, a także o tym, co na ten temat myśli.

Naturalnie będzie zaskoczona, ale zrozumie, jak idealnie się to wszystko składa - ona, Thomas i on rodziną.

- Gdzie Sophie? - spytał, nie zastawszy jej w pokoju.

Wymowne milczenie świadczyło, że wydarzyło się coś złego. Bardzo złego.

Albert i Sally wbijali wzrok w podłogę.

- Co się stało? - spytał Gib, uprzytomniając sobie dopiero teraz, że gdyby rzeczywiście doszło do jakiegoś wypadku, Ety powiadomiłaby go przecież telefonicznie.

- Jakiś mężczyzna wtargnął z nożem do naszego przedszkola i wziął na zakładnika małego chłopczyka.

- Chyba nie Thomasa?! - ryknął Gib, zapominając, że sam wydal zakaz podnoszenia głosu na oddziale.

Wypadł z sali, wdusił guzik przywołania windy i usiłował się opamiętać - to łomotanie pięściami w drzwi niczego przecież nie da ani nie przyspieszy.

Pod przedszkolem, wśród innych roztrzęsionych rodziców, stała pobladła z przerażenia Sophie. Przepchnął się do niej przez tłumek, chwycił za ramiona i spojrzał w oczy.

- Co tu się stało? - wyrzucił z siebie o wiele za głośno.

- Jakiś mężczyzna... - wykrztusiła. - Jego synek umiera na oddziale intensywnej terapii... Podobno najechał na niego,

cofając samochód. Wyobraź sobie, jak on musi się teraz czuć...

- Nie rozczulaj się nad nim! On przecież trzyma Thomasa jako zakładnika!

Podniosła na niego oczy, w których malowała się bezradność.

- A mnie go żal, ale nie w tym rzecz.

Gib uspokoił się trochę, zdając sobie sprawę, że jej potrzebne bardziej jego wsparcie niż połajanki.

- A w czym? - spytał.

Pod przedszkole podjechał wóz policyjny z megafonem na dachu.

- Jego synek nie ma szans na przeżycie i ktoś go zapytał, czy wyraża zgodę na oddanie narządów małego do przeszczepu.

- Coś podobnego! Facet dopiero co przejechał własne dziecko, a jakiś kretyn już robi podchody do wykorzystania jego organów w charakterze części zapasowych! - Znowu wezbrał w nim gniew, którego nie załagodziło ciche wyjaśnienie Sophie:

- Na oddziale intensywnej terapii leży dziecko, które na gwałt potrzebuje nowego serduszka.

Gibowi znowu wyrwało się przekleństwo.

Policjant z radiowozu wywołał mężczyznę zabarykadowanego w przedszkolu.

Megafon zniekształcał głos, za to odpowiedź rozwścieczonego i zrozpaczonego ojca, chociaż nie dysponował takimi środkami technicznymi, słyhać było głośno i wyraźnie:

- Wynocha stąd, hieny cmentarne. Spróbujcie tylko wejść, a załatwię tego gówniarza, a może nie tylko jego. Będziecie wtedy mieli od groma serc na wymianę.

- Jak ma na imię jego synek? - zapytał Gib.

- Michael - odpowiedziała mu jakaś kobieta. - Jestem pielęgniarką z oddziału ratunkowego. I byłam tam, kiedy go przywieziono.

- Wchodzę do przedszkola - zdecydował Gib, a Sophie automatycznie zastąpiła mu drogę, chwytając za ramię i spoglądając błagalnie w oczy, ale odsunął ją i podszedł do kordonu policji przed furtką.

- Nie rób tego, Gib. - Sophie dreptała za nim bezradnie. - To sprawa policji, oni wiedzą, jak się do tego zabrać. Byli szkoleni w postępowaniu w takich sytuacjach. Musimy im zaufać.

- Pani ma rację, proszę pana - podchwycił jeden z policjantów. Był młody, nie za dobrze zbudowany i Sophie wątpiła, czy zatrzyma zdeterminowanego Giba. - Nasz mediator zaraz tu będzie. On mu przemówi do rozsądku.

- Albo nie! - warknął Gib. - Nie wiadomo, czy i kiedy mu się to uda, a tymczasem jakiś gość będzie groził nożem mojemu synkowi. Wchodzę.

Przecisnął się między policjantami z kordonu, a Sophie stała jak skamieniała, porażona tymi dwoma słowami.

Mojemu synkowi!

Może tak mu się tylko powiedziało?

Może wybiegł myślą w przyszłość, kiedy będą już małżeństwem?

Może robi to dla niej?

Za wiele tych może, a tymczasem Gib wpadł do przedszkola, wołając od progu, że jest lekarzem i przysłano go tu z wiadomością, że Michael odzyskał przytomność i chce rozmawiać z tatą.

Kobieta stojąca obok Sophie wydała okrzyk przerażenia, a policjant wyburczał, że terrorystom nie powinno się opowiadać kłamstw, ale Sophie puściła to mimo uszu. Ją obchodziło tylko bezpieczeństwo Giba i Thomasa...



Gib nie miał pewności, czy to podziała, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy, a instynkt mu podpowiadał, że mężczyzna - zareaguje pozytywnie na informację, że jego dziecko jeszcze nie umarło.

I nie pomylił się, bo facet - osiłek w obszernych szortach i kolorowej hawajskiej koszuli - puścił chłopczyka, którego trzymał, poklepał go po ramieniu i spojrzał do Giba. W dłoni dzierzył nadal otwarty sprężynowiec.

- Chodź, stary, zabieram cię stąd - powiedział Gib, otaczając go ramieniem i wyprowadzając z przedszkola. - Z drogi! - krzyknął do policjantów. - Niech nam któryś ściągnie windę. Jedziemy na górę.

Tak mu zależało na tym, by jak najszybciej znaleźć się z mężczyzną w jakimś ustronnym miejscu i wytłumaczyć mu, dlaczego go okłamał, że ledwie zwrócił uwagę na pobladłą Sophie, która wpatrywała się w niego z przerażeniem w oczach, chociaż musiała zdawać sobie sprawę, że Thomasowi nic już nie zagraża.

Kordon policjantów się rozstał. Któryś poprosił mężczyznę o oddanie noża, ale ten nie posłuchał. W opuszczonej ręce trzymał nadal otwarty sprężynowiec.

Weszli do windy, a Gib, nacisnąwszy guzik żądanego piętra, odwrócił się do mężczyzny i położył mu dłonie na ramionach.

Był to krytyczny moment, kiedy wszystko mogło się zdarzyć, ale nie mógł utrzymać dalej mężczyzny w fałszywej wierze, że jego synek żyje. Zresztą teraz, kiedy znajdowali się w kabinie tylko we dwóch, tamten, w przyływie rozpacz, może skrzywdzić tylko jego.

- Okłamałem cię, stary - powiedział cicho. - Zrobiłem to, bo musiałem cię jakoś stamtąd wyprowadzić. Te przedszkolaki nie są w niczym winne temu, co spotkało twojego Michaela, a pomyśl tylko, jaki by to był dodatkowy

cios dla twojej żony, gdybyś wylądował w więzieniu? Ona cię teraz potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek. Musisz przy niej być, kiedy będzie się żegnała z Michael'em, musisz ją duchowo wspierać, dzielić z nią żalobę.

Mężczyzna patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- To on nie żyje?

- Tak jakby - powiedział łagodnie Gib świadomy, że za chwilę może zostać pchnięty nożem,

- Ale to ja go zabiłem. Przejechałem go, cofając wóz. Wybieraliśmy się na plażę... Wyprowadzałem samochód z garażu... Myślałem, że on jest z Lisą, i nagle poczułem uderzenie.

Gib otoczył mężczyznę ramieniem.

- Ona nie będzie chciała ze mną rozmawiać. Nie będzie chciała mnie teraz znać...

Urwał, z piersi wyrwał mu się szloch. Gib zatrzymał kabinę między piętrami i czekał, aż zrozpaczony mężczyzna się uspokoi.

- To chyba najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć człowiekowi, ale nie sądzisz, że twoja żona też siebie obwinia? Że nie może sobie darować tego, że go nie upilnowała? Żadne z was nie powinno brać całej odpowiedzialności na siebie, to był wypadek. Nie możecie żyć z takim poczuciem winy. Takie rzeczy się zdarzają i możemy tylko przypuszczać, że jest po temu jakiś powód.

Mężczyzna odsunął się od Giba, złożył nóż, położył go sobie na dłoni i wpatrywał się w niego, tak jakby nie wiedział, co to takiego.

- Mieliśmy łowić ryby. Dlatego zabrałem nóż. Ma na rękojeści takie szczypczyki do przytrzymywania haczyka, kiedy wydlubuje się go z rybiego pyszczka.

Gib przełknął z trudem ślinę i ponownie uruchomił windę. Zatrzymała się na piętrze, na którym znajdował się dziecięcy

oddział intensywnej terapii. Drzwi rozsunęły się i zobaczyli kobietę prowadzoną przez trzech policjantów.

- Lisa! - Mężczyzna rzucił się w jej ramiona.

Obejmowali się przez chwilę, a potem, nie zważając na policyjną eskortę, zawrócili na oddział. Kobieta łkała cicho, a on ją pocieszał.

Gib ze ściśniętą krtanią odprowadzał ich wzrokiem. Kiedy znikli mu z oczu, wycofał się do kabiny i przygnębiony zjechał na swój oddział.

Sophie siedziała w przedszkolu na podłodze z Thomasem na kolanach. Rozpamiętując słowa Giba, nie słyszała bajki, którą Vicki czytała dzieciom, by w ten sposób rozładować napięcie wywołane niedawnymi dramatycznymi wydarzeniami.

Nadal nie dostrzegała w tych słowach sensu.

A gdyby tak zatelefonować do Pauli i raz na zawsze wyjaśnić problem ojcostwa? Nie, coś ją przed tym powstrzymywało.

Gib powiedział „mojego synka”. To musi coś znaczyć. Przystąpiła do podsumowywania po raz nie wiadomo który znanych jej faktów. Thomas skończył niedawno trzy latka, a z tego wynika, że został poczęty cztery lata temu. Czy to możliwe, by mężczyzna, który cztery lata po śmierci żony nosił jeszcze ślubną obrączkę, miał romans z Hilary albo tuż przed, albo tuż po jej śmierci?

Nieprawdopodobne!

Zresztą, gdzie by się poznali?

Ścieżki medycyny i nauki często się przecinają, ale Hilary nie należała do kobiet łatwo nawiązujących romanse. A już na pewno nie z mężczyzną, który ma chorą żonę.

Ale jeśli tak właśnie było, i jeśli Gillian się dowiedziała, i jeśli...?

Czy to by wyjaśniało niezaprzeczalny fakt, że Gib czuje się winny jej śmierci?

Ta myśl sprawiła, że Sophie zebrało się na płacz.

Thomas, ani trochę nie przejęty dramatem, który się tu rozegrał, zsunął się z jej kolan i poszedł się bawić z kolegą. Sophie wstała. Koniec z tymi bezowocnymi spekulacjami. Zatelefonuje jednak do Pauli.

Teraz!

Nie ze swojego pokoju, lecz z któregoś z automatów w holu. Pożegnała się z Thomasem, pożyczyła trochę drobnych od wciąż trochę roztrzęsionej kierowniczkii przedszkola i poszła wprowadzić swoją decyzję w czyn.

- Paula, zdaję sobie sprawę, że to pytanie może ci się wydać dziwne, ale czy Hilary była szczególnie blisko z którymś z mężczyzn pracujących w instytucie?

- Tylko z Gibem, ale to już chyba żadna dla ciebie tajemnica, bo widziałas go na mszy. Jak sama wiesz, Hilary była osobą bardzo skrytą. Jeśli już się komuś z czegoś zwierzała, to chyba tylko Gibowi.

Sophie poczuła nagłą pustkę w głowie, ścisnęło ją w dołku.

- Gibowi? - wydusiła z siebie w końcu. - Temu mojemu Gibowi?

Nie był "jej Gibem", ale Paula najwyraźniej zrozumiała, co chciała przez to powiedzieć.

- Aleksandrowi Gibsonowi z oddziału intensywnej terapii noworodków - uściśliła. - Nie wiedziałas, że pracował u nas przez kilka lat? Jego żona była przewlekłe chora i musiał podjąć pracę w normowanym wymiarze czasu, żeby wieczorami i w nocy być przy niej. Zatrudniał jakąś kobietę na przychodnię, która opiekowała się nią w ciągu dnia. Prowadziliśmy wtedy badania nad genetycznymi przyczynami przedwczesnych narodzin, a on się w tej dziedzinie

specjalizował, więc bardzo się nam przydał. Współpracował z Hilary, nic więc dziwnego, że z czasem się do siebie zbliżyli.

Nic dziwnego, że z czasem się do siebie zbliżyli?

Przecież on miał chorą żonę! - cisnęło się Sophie na usta. Wszystkie nadzieje i marzenia, którymi od kilku dni żyła, rozsypywały się teraz w proch.

- Dziękuję ci, Paulo - wykrztusiła, ale koleżanka nie dała się tak łatwo zbyć i zapytała, dlaczego Sophie to interesuje.

- Hilary zostawiła coś, co być może należy do niego.

Powiedziała to na odczepne, ale nie skończyła jeszcze, kiedy dotarło do niej prawdziwe, straszne znaczenie tych słów.

Thomas może być jego dzieckiem.

Mojemu synowi! Takiego sformułowania użył przed niespełną godziną.

On wie!

I nic jej nie powiedział?

Sophie z ciężkim westchnieniem wsparła czoło o plastikowy bąbel nad automatem telefonicznym.

Zakochała się w kochanku siostry.

I jakby tego było mało, to wychodzi jeszcze na jaw, że pomyliła się w jego ocenie. Najwyraźniej nie kochał Hilary. Gdyby kochał, nie zostawiłby jej z dzieckiem, umywając ręce.

Wykorzystał Hilary, zdradził żonę - a w najlepszym przypadku jej pamięć - a potem wyparł się własnego dziecka.

Czarne, ponure chmury rozpaczły zbierały się w głowie Sophie, a jej zakochane serce płakało krwawymi łzami. Nie odda teraz Thomasa takiemu draniowi, choćby ją prosił na kolanach!

Rozkojarzona i przestraszona, szukała dla tej sytuacji rozwiązania.

Nie ma wyboru. Musi porozmawiać z Gibem. Zapytać, jak to było... co teraz zamierza.

Kiedy wracała na oddział, lęk z wolna ustępował miejsca złości. Przed samymi drzwiami przypomniało jej się, że ostatnio widziała Giba wsiadającego do windy z nożownikiem i serce podeszło jej do gardła.

- Gib wrócił? - spytała zduszonym głosem wychodzącą na korytarz pielęgniarkę, a ta ruchem głowy wskazała jego gabinet.

Sophie wpadła tam bez pukania.

- Sophie! Dobrze się czujesz? Z Thomasem wszystko w porządku? Z resztą dzieci też?

Wstał zza biurka, podszedł, położył jej dłonie na ramionach i spojrzał z troską w oczy.

Pod wpływem tego spojrzenia opuściło ją całe zdecydowanie, wiedziała jednak, że musi być silna, zdobyła się więc na mamuci wysiłek i odsunęła od tego mężczyzny, który zburzył jej szczęście.

- Powiedziałeś „mojego synka”! - wyrzuciła z siebie podniesionym głosem. - Skąd ta pewność, że Thomas jest twoim synem? Bo miałeś romans z moją siostrą? Stąd? Czy byłeś jeszcze wtedy mężem tej chorej kobiety, czy może wspaniałomyślnie zaczekałeś, aż Gillian umrze? Kiedy zobaczyłam cię na mszy, pomyślałam, że przyszedłeś z mojego powodu, żeby mnie wesprzeć, ale nie, ty byłeś tam z powodu Hilary! Z powodu matki swojego syna, którego nie chciałeś uznać. W głowie mi się to nie mieści. Nic z tego nie rozumiem, nic a nic. Jak tak można! A najgorsze ze wszystkiego jest to, że wiedziałeś i mi nie powiedziałeś! Przyjechałam tu, żeby odnaleźć ojca Thomasa, i okazuje się, że mam go przez cały czas pod nosem, a ten tchórz boi się przyznać, boi się wziąć odpowiedzialność za własne dziecko!

Wyrzuciła to z siebie w gniewie i nie wiedziała, co dalej. Z takim zaangażowaniem szukała odpowiedzi na dręczące ją pytania, a teraz nie miała ochoty ich wysłuchać - nie chciała

przyjąć do wiadomości faktu, że jej siostra i ten mężczyzna byli kochankami.

Niczego nie chce wiedzieć!

Odwróciła się, ale Gib chwycił ją, przyciągnął do siebie i wziął w ramiona. Odepchnęła go i wyszła.

- Sophie, musimy to wyjaśnić! - zawołał za nią, ale puściła to mimo uszu.

Dzisiaj wcześniej odbierze Thomasa z przedszkola i pójdą do parku. Po drodze kupi chleb i pokarmią kaczki. Potem wpadną na hamburgera i długo tam zabawią.

Z tego snucia planów wyrwał ją głos Marii:

- Och, Sophie, widziałaś Mackenzie?

- Ostatni raz rano - odparła, podążając za Marią do inkubatora Mackenzie.

- Tylko popatrz! - powiedziała z dumą Maria. Dziewczynka miała szeroko otwarte oczka. Przesunęły się na Marię, kiedy ta wyszeptwała imię córeczki.

Czyżby się uśmiechnęła?

Nie, to niemożliwe.

Chociaż kto wie... Niedawno doszli z Gibem do wniosku, że cuda się zdarzają.

Gib!

- Karmiłam ją dziś rano piersią i wszystko było w porządku. Czy to nie cudowne?

- Cudowne - przyznała Sophie i zmartwiała na widok podchodzącego Giba.

- Tak, cudowne - powiedział, zatrzymując się tak blisko Sophie, że tej zachciało się zawyć w proteście. Albo odskoczyć.

- Carly, Kristie i Angus też dobrze się mają. Niebawem, jak szybko opadł im poziom bilirubiny. To twoja zasługa, Sophie. Fototerapia, którą zaleciłaś, była strzałem w dziesiątkę.

- Rutynowy zabieg - wyburczała. Nie chciała jego pochwał.

- Rutynowe zabiegi nie zawsze pomagają. Można je przyrównać do obietnic.

Odwrócił się i oddalił.

- O czym on mówił? - spytała Maria.

- A kto go tam wie? - mruknęła Sophie i dorzuciła gniewnie pod nosem: - I kogo to obchodzi! - chociaż na to ostatnie pytanie знаła odpowiedź.

Ją to obchodzi.

Ale teraz jest w pracy, na oddziale noworodków. Podeszła do dzieci po fototerapii, Helen karmiła piersią Angusa, Dan siedział przy inkubatorze z jego siostrzyczkami.

- Wiem, że mogłabym to robić w specjalnym pokoju - powiedziała przepaszająco Helen - ale on lepiej je, kiedy jest w pobliżu siostrzyczek.

- Ciekawy szkrab, prawda? - zauważyła Sophie, spoglądając na różową buźkę i czerwone usteczka chłopczyka przyssane do matczynej piersi. - Chyba wyrośnie z niego prawdziwy mężczyzna, w którym siostry będą miały zawsze oparcie.

- A mnie się wydaje, że to raczej on będzie szukał oparcia w nich.

Tym razem nie wyczuła ani nie usłyszała zbliżającego się Giba, chociaż pchał przed sobą inkubator z Dzidziusiem Neilsenem.

- Moje siostry zawsze uważały, że są za mnie odpowiedzialne i do tej pory im nie przeszło, chociaż wszyscy jesteśmy już po czterdziestce. Biedny Angus, czeka go życie pod babskimi skrzydłami.

- Jeśli wszystko w porządku, to ja już sobie pójdę - powiedziała Sophie.



- Idź, idź, tylko nie zapomnij odebrać z przedszkola Thomasa.

Odwróciła się na pięcie, żeby wykrzyknąć mu w twarz, by nie wymawiał imienia Thomasa, i rozbroiło ją spojrzenie jego płonących niebieskich oczu.

Idąc do drzwi, usłyszała jak przedstawia Marii, Helen i Danowi Dzidziusia Nielsena:

- Oto Alexander John Nielsen. Uśmiechnęła się mimowolnie. Dzidzius Nielsen ma wreszcie imię.

- Wiesz, Sophie, że Święty Mikołaj zostawia prezenty pod choinką? - spytał Thomas, kiedy odbierała go z przedszkola. - I że my też możemy podkładać pod nią prezenty? Podłożymy coś dla cioci Etty? I dla Giba?

Puściła mimo uszu to ostatnie pytanie.

- Mam prezenty dla ciebie i dla cioci Etty - zapewniła go.

- A dla Giba? Lubię Giba.

- A jaki prezent zaproponowałbyś dla Giba?

- Słonie z czekolady - oznajmił Thomas z takim zdecydowaniem, że Sophie spojrzała na niego zdziwiona. - Bo wiem, że on lubi czekoladę. Ciocia Etty mi powiedziała. A on wie, że ja lubię słonie, bo czytał mi bajkę o słoniach.

- Kiedy Gib czytał ci bajkę o słomach?

- Do poduszki.

Sophie jedną odpowiedź już знаła. Gib widział przy łóżku Thomasa fotografię Hilary i wszystko sobie skojarzył.

Ale nic jej nie powiedział.

I Thomas chce, żeby mu kupiła na prezent czekoladowe słonie?

Pokarmili kaczki, pospacerowali po parku, zjedli kolację u McDonalda, a na koniec wypożyczyli film w wypożyczalni płyt DVD i ruszyli w drogę powrotną do domu. Thomas zasnął w samochodzie, zanim tam dojechali.

Sophie przebrała go w piżamkę, położyła do łóżka i poszła do Etty zapytać, czy, mogłaby posiedzieć przy nim z godzinę.

- Zapomniałam coś kupić - wyjaśniła, zastanawiając się, czy w sklepie ze słodyczami w wielkim miejscowym centrum handlowym można dostać czekoladowe słonie.

- Nie ma sprawy - odparła Etty - a po powrocie wpadnij do nas na bożonarodzeniowego drinka. Giba tylko patrzeć.

- Przepraszam, ale raczej nie będę mogła - powiedziała. - Miałam ciężki dzień w szpitalu i chcę się wcześniej położyć.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy wróciła, siedział na progu. Nie sposób go było ominąć.

- Już po zakupach?

Sophie uniosła torbę ze sprawunkami.

- Uwierzyłybyś, że to prezent dla ciebie od Thomasa? Od synka, którego nie chciałeś znać?

- Nie wiadomo jeszcze, czy to naprawdę mój syn - odparł cicho Gib, wstając, ale nie podchodząc do niej.

- Co przez to rozumiesz? - zachnęła się Sophie.

- Jeśli chcesz zasugerować, że moja siostra puszczała się z kim popadnie, to ja... ja...

- Wybiję ci zęby? - odpowiedział, wprawiając Sophie w jeszcze większą furję.

- Coś w tym stylu - wysyczała.

- Sophie, Hilary się nie puszczała. Nie spała nawet ze mną.

- No gdzieżby! A w ciążę zaszła drogą osmozy, tak?

- Drogą sztucznego zapłodnienia. Dałem jej tylko swoją spermę.

- Byłeś dawcą spermy? - Tego było już dla Sophie za wiele. - Przecież to się odbywa anonimowo, to znaczy dawcy są anonimowi, a ty powiedziałeś o Thomasie, że to twój synek.

- Nie odbywa się anonimowo, jeśli robi się to dla znajomej osoby - oznajmił Gib, a widząc, że Sophie już się uspokoiła, zbliżył się do niej. - Usiądźmy. Wszystko ci wyjaśnię. Może zejdziemy nad rzekę?

Nad rzekę? Księżyc świeci, woda pluska. Złość może jej i przeszła, ale taka głupia to nie była.

- Nie!

- No to przysiadźmy tu, na schodku. Schodek był wąski, ale lepsze już to niż brzeg rzeki. Usiedli, stykając się ramionami.

- Hilary bardzo chciała mieć dziecko - zaczął poważnym tonem, sugerującym, że sięga do bolesnych wspomnień. - Nie wiem, czy ci to kiedyś mówiła, ale mnie często. Pewnie dlatego, że byliśmy przyjaciółmi. Pewnego dnia spytała, czy nie zechciałbym zostać dawcą spermy,

Sophie wstrzymała oddech.

- Jak mógłbym dać jej dziecko, skoro nie miałem go z Gillian? - wyszeptał. - Odmówiłem, i na tym się skończyło. Potem Gillian zginęła - odeszła w wybrany przez siebie sposób - i cały świat wywrócił się dla mnie do góry nogami. Nie mogłem zrozumieć, jak mogła mi to zrobić, wyrzucałem sobie, że temu nie zapobiegłem. Żal po stracie kogoś bliskiego zawsze jest trudny do zniesienia, ale moja żałoba nie była czysta, Sophie, nie była zdrowa. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Rozumiała. Dała temu wyraz, kładąc mu dłoń na kolanie, bo wzruszenie odebrało jej głos.

- Wróciłem do instytutu, żeby przed powrotem do szpitala dokończyć badania, które tam prowadziłem, i spotkałem się znowu z Hilary. Była tak samo przybita jak ja. Umarła jej ukochana babcia. Postanowiła złożyć wymówienie, wrócić do Sydney i zamieszkać z siostrą. Wziął Sophie za rękę.

- Z tobą?

Sophie kiwnęła w ciemnościach głową i z zapartym tchem czekała na dalszy ciąg.

- Kiedy się zegnaliśmy, ponowiła swoją prośbę. Powiedziała, że bardzo pragnie tego dziecka, a spadek po babci pozwoli jej wziąć pięć lat bezpłatnego urlopu, które poświęci na opiekę nad nim do czasu, kiedy pójdzie do szkoły.

Urwał znowu, a Sophie stanęła przed oczami zapłakana Hilary wsiadająca po pogrzebie babci do samolotu odlatującego do Brisbane.

I serce jej się ścisnęło.

- Widząc ją taką załamaną - podjął Gib - zgodziłem się w końcu, ale przez wzgląd na pamięć Gillian zastrzegłem sobie, że nie chcę wiedzieć, czy poczęła to dziecko. Ona ze swej strony przyrzekła mi, że nie powie nikomu, kto jest ojcem i że nie będzie wysuwała wobec mnie żadnych roszczeń. Ja z kolei przyrzekłem, że nie będę rościł sobie żadnych praw do dziecka.

Zawiesił na dłuższą chwilę głos, a potem dodał jeszcze jedno słowo:

- Nigdy!

- Kiedy więc czytałeś Thomasowi bajkę o słoniu i zobaczyłeś na jego nocnym stoliczku fotografię Hilary...?

Sophie nie dokończyła, ale nie oponowała, kiedy Gib otoczył ją ramieniem i przygarnął do siebie.

- Nie wiedziałem, co robić! Że mnie zamurowało, to mało powiedziane. O zgrozo! Niewykluczone, że ten chłopczyk mieszkający teraz pod moim dachem może być dzieckiem, o którego istnieniu nie chciałem nic wiedzieć! A co gorsza, w moim życiu pojawiła się kobieta, wnosząc ze sobą śmiech i pogodę ducha. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak mi tego brakowało. A ja się bałem, że zawiodę ją tak, jak zawiodłem Gillian.

Przytulił ją i zapatrzyli się oboje w ciemność.

- Przyjechałam do Brisbane, żeby cię odnaleźć

- odezwała się Sophie. - To, że tak szybko się poznaliśmy, jest zwyczajnym zbiegiem okoliczności, a fakt, że u ciebie zamieszkałam, tylko z niego wynika.

Gib pocałował ją lekko w policzek.

- Przyjechałaś do Brisbane, żeby mnie odnaleźć? - powtórzył za nią.

- Żeby odnaleźć ojca Thomasa - uściśliła. - Zaczęłam od skontaktowania się z Paulą, przyjaciółką Hilary z instytutu. Wiele mi pomogła.

Gib pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Jeśli o to ci tylko chodziło, to dlaczego podjęłaś tu pracę? Nie mogłaś przylecieć, spędzić tu kilku tygodni, i wrócić do Sydney?

- Widzisz...

Poczuł, jak zeszywniała.

- Pomyślałam sobie, że kiedy ojciec Thomasa dowie się o jego istnieniu, to może będzie chciał utrzymywać z nim kontakt, a o to byłoby łatwiej, gdybyśmy zamieszkali w Brisbane. Thomas to mały chłopczyk. Pomyślałam sobie, że przyjdzie czas, kiedy będzie potrzebował ojca.

Gib jęknął. Jak mógł nie wziąć tego pod uwagę, kiedy godził się spełnić prośbę Hilary?

Mocniej przytulił Sophie i pocałował ją w czoło.

- Zostawiłaś swoje rodzinne miasto, przyjaciół i rodzinę, i przeniosłaś się tutaj dla Thomasa?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie dopatruj się u mnie takiej znowu skłonności do poświęceń - rzekła z westchnieniem. - Swoje powody też miałam. Czy Hilary opowiadała ci coś o naszej rodzinie?

Gib pokręcił głową.

- Była bardzo skryta - wyznał cicho. - Zaczynam podejrzewać, że ty też taka jesteś.

Jeszcze jedno westchnienie.

- Wiele się teraz mówi o rodzinach patologicznych, w których dzieci nie mają łatwego życia. Nasza rodzina była na pozór normalna, ale nie było w niej miłości, Gib, a dzieci jej potrzebują jak powietrza.

Zawiesiła na chwilę głos, a potem podjęła:

- Nie znałam ojca Hilary, ale wychodzi na to, że był jeszcze jednym objawieniem naszej matki. Tym właśnie byli dla niej mężczyźni; krótkotrwałymi objawieniami. Kiedy upatrzyła sobie jednego, wszyscy pozostali przestawali dla niej istnieć, potem entuzjazm jej przechodził i porzucała go.

- A dzieci?

- Pomyłki! Owszem, może i chciała mieć dzieci, ale nie miała dla nich czasu. Wynajmowała niania, które się nami opiekowały, i na tym jej rola się kończyła. Nie pamiętam, żeby mnie choć raz pocałowała albo przytuliła, albo przynajmniej skrzyczała, kiedy coś zbroiłam. A było ze mnie niezłe ziółko.

Gib słuchał w milczeniu.

- Była piękna, zadbana, zawsze roześmiana, a przynajmniej tak mi się wówczas wydawało. Pocałunki i uściski rezerwowała dla mężczyzn, którzy pojawiali się w naszym domu i znikali. Za niektórych, na przykład za mojego ojca, ojca Hilary i tego ważniaka, z którym teraz żyje, wychodziła za mąż. Ale w międzyczasie było wielu innych. Hilary była tylko o cztery lata starsza ode mnie, ale to ona mi matkowała. Nie wiem, czy to sprawa instynktu, czy może próbował ją molestować któryś z kochasiów naszej matki, ale kiedy miałam trzy latka, wsadziła mnie pewnego dnia do wózka i po raz pierwszy uciekłyśmy z domu. Uciekałyśmy zawsze do babci, a ona zawsze odstawiała nas z powrotem, ale zdarzało się to tak często, że wreszcie do babci dotarło, że coś tu jest nie tak. Kiedy miałam pięć lat, wniosła sprawę do sądu. Długo to się ciągnęło, bo miałam już osiem lat, a Hilary dwanaście, kiedy babci przyznano w końcu prawo do opieki nad nami i przeprowadziłyśmy się do niej. Nasza babcia była cudowna, ale dla Hilary było już chyba za późno na naukę miłości i czułości.

- A Thomas? I ta akcja poszukiwania jego ojca?

- Moja matka chce mi go odebrać. - W głosie Sophie zabrzmiał strach. - Wszyscy jej znajomi mają dzieci, więc wypadaloby, żeby i ona mogła się pochwalić swoim przychówkiem. Jej obecnym mężem jest jakiś zamożny polityk, który uznał, że wychowywanie przyszywanego wnuka korzystnie wpłynie na jego wizerunek, więc matka wszczęła procedurę sądową. Ja jestem samotna, pracuję, muszę oddawać Thomasa do przedszkola. Ona ma tyle dojsć i pieniędzy, że bez trudu wygra sprawę.

- Aha! - mruknął Gib. - Czyli musisz odszukać ojca Thomasa, żeby zdobyć argument, który pozwoli ci zatrzymać chłopca przy sobie.

Sophie kiwnęła głową.

Gib pocałował ją w policzek.

- Idź do łóżka - powiedział. Idź do łóżka? Tylko tyle?

Ale była zbyt zmęczona, żeby oponować.

Pomógł jej wstać, wprowadził do domu i pocałował delikatnie w usta na dobranoc przed drzwiami jej pokoju.

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich iskierki uśmiechu.

- Wyglądasz na zadowolonego z siebie - zauważyła. - Co ci chodzi po głowie?

- Przekładam Boże Narodzenie, a dzisiaj muszę jeszcze pobiegać po sklepach, zanim je pozamykają, a potem wykonać milion telefonów. Połóż się. Do zobaczenia jutro rano.

Obudziwszy się następnego dnia, Sophie zobaczyła nad sobą Thomasa, który stał przy łóżku i wpatrywał się w nią intensywnie.

- To już Boże Narodzenie? - spytał, ledwo otworzyła oczy. - Możemy zajrzeć pod choinkę?

- Jeszcze jedno spanie - odparła. - Dzisiaj idę do pracy, a ty zostajesz z ciocią Etty i...



Miała już powiedzieć, że ciocia Etty zabierze go na przyjęcie, ale przypomniała jej się dziwna uwaga Giba o przełożeniu Bożego Narodzenia i w porę ugryzła się w język. Co on, u licha, miał na myśli?

- Jeszcze jedno spanie? - upewnił się Thomas, gramoląc się ze swoim słoniem do łóżka i przytulając do niej.

- Tylko jedno - zapewniła go i pocałowała.

I co dalej, przemknęło jej przez myśl. Wszystko już sobie z Gibem wyjaśnili, ale nie usłyszała od niego żadnej propozycji wyjścia z zaistniałej sytuacji. A rozwiązanie było przecież takie proste i oczywiste

- pobierają się z Gibem i Gib zostaje w ten sposób podwójnym ojcem Thomasa.

Dreszcz ją przeszedł na tę myśl, ale nie był to dreszcz przyjemny, bo wiedziała przecież, że takie bajkowe zakończenia rzadko się ziszczają.

Wstała i zagoniła malca do kuchni na śniadanie. Kiedy Thomas był już umyty i ubrany, zadzwoniła do Etty, by uprzedzić ją o scenariuszu "jeszcze jednego spania". Etty w mig pojęła, o co chodzi.

- Gdybyś wybierała się z nim dzisiaj do rodziny Giba, to mów mu, że to przyjęcie z okazji Wigilii - dodała Sophie.

- Dobrze - powiedziała Etty, ale Sophie wychwyciła w jej tonie wahanie.

Zaprowadziła Thomasa do części domu zajmowanej przez Etty i Giba, i przekazała Etty, która oznajmiła, że będą wypiekali chlebowe ludziki.

- Chlebowe ludziki? - powtórzył za nią Thomas, patrząc z zachwytem na kobietę, która wносиła w jego życie tyle magii.

- Tak jest - potwierdziła Etty. - A teraz daj Sophie buziaka na do widzenia i zabieramy się do roboty.

W drodze do pracy Sophie uśmiechała się do siebie. Zastanawiała się czasami, czy nie powinna być zazdrosna o

miłość, jaką Thomas darzy Etty, ale zawsze czuła tylko wdzięczność do Giba, że zaproponował jej taki układ. Był idealny i Sophie wiedziała, że obojętne co się wydarzy między nią a Gibem, Etty zawsze znajdzie czas dla Thomasa.

- Czapka Świętego Mikołaja dla ciebie - usłyszała od Sally, wchodząc na oddział.

Zauważyła już, że cały szpital nosi dzisiaj czapki Świętego Mikołaja, nałożyła ją więc z gracją.

Dobrze zaczął się ten dzień, I tak już zostało do wieczora. Na oddziale panował spokój. Noworodka, którego przyjmował ostatnio Gib, wypisano do domu, Alexander John Neilsen nie wymagał już specjalnej troski i powędrował na oddział przejściowy, a Carly, Kristie i Angusa odłączono od monitorów - cała trójka przebywała teraz z mamusią i tatusiem w jednym z pokojów rodzinnych.

Sophie, korzystając z tego spokoju, zajrzała na oddział intensywnej terapii do podtrzymywanej sztucznie przy życiu kobiety w ciąży. Zastała tam Marty, która rozmawiała z nienarodzonym dzieckiem, opowiadając mu o Bożym Narodzeniu.

- Co, nie mogłaś się oprzeć? - spytała wchodzącą Sophie.

Sophie uśmiechnęła się i przyznała, że przysłała, bo według niej ta kobieta i jej nienarodzone dziecko zasługują na odwiedziny w Boże Narodzenie. Marty wyszła, ale Sophie została jeszcze chwilę, trzymając kobietę za bezwładną rękę i śpiewając cichutko dziecku.

Potem wróciła na oddział, gdzie niewiele się zmieniło.

- To pewnie duch Bożego Narodzenia sprawia, że wszystkie te maleństwa lepiej się dzisiaj czują - powiedziała Maria, kołysząc na rękach śpiącą Mackenzie.

- Z pewnością - zgodziła się z nią Sophie.

Gib nie wiedział, jak mu się to udało, ale w Wigilię o północy wszystko było już zapięte na ostatni guzik. W dzień Bożego Narodzenia obudził się późno.

Dzisiaj porozmawia z Sophie, a jutro...

Wyszedł z sypialni z uśmiechem na ustach. W kuchni zastał Thomasa z Etty i zaproponował mu kąpiel w basenie.

Chłopczyk podbiegł do niego w radosnych podskokach, a serce Giba przepełniła emocja, której dotąd nie doświadczył. Wziął Thomasa na ręce, przytulił i przemknęło mu przez myśl, że to dziecko to najwspanialszy prezent, jaki mężczyzna może znaleźć pod choinką.

Chociaż jemu marzył się jeszcze jeden taki...

Sophie późno wróciła do domu. Zatrzymali ją w szpitalu na świątecznego drinka ci, którzy rozpoczynali nocny dyżur, ale ona, zamiast szampana, piła lemoniadę.

Thomas już spał.

- Zmęczony był, biedaczek - wyjaśniła Etty.

- Ja chyba też jestem zmęczona - westchnęła Sophie. -

Miło spędziliście ten dzień? Byliście na bożonarodzeniowym przyjęciu?

Etty ściągnęła brwi.

- Przecież my obchodzimy Boże Narodzenie jutro - przypomniała jej.

Sophie była tak skonana, że bez zastanowienia jej przytaknęła. Chciała jeszcze zapytać, gdzie jest Gib, ale dała sobie z tym spokój. Powiedziała Etty dobranoc i poszła do siebie. Najadła się rozmaitych świątecznych przysmaków w szpitalu. Teraz tylko herbata, grzanka i do łóżka.

Sama.

Odpływała już w sen, kiedy przypomniało jej się, że nie położyła pod choinką prezentów dla Thomasa. Wstała, narzuciła na nocną koszulę lekki szlafroczek, wyciągnęła

schowaną w szufladzie komody torbę z prezentami i wyszła na palcach z sypialni.

Kolorowe lampki na choince w dużym pokoju nawet nieźle oświetlały drogę do drzewka, ale dopiero kiedy się schylała, by położyć pod nim paczki, uświadomiła sobie, że nie jest sama.

- Zastanawiałem się, czy będziesz pamiętać - powiedział cicho Gib. - Etty mówiła, że wróciłaś bardzo zmęczona. Chciałem już zakraść się do ciebie, zabrać te prezenty i samemu podłożyć je pod choinkę.

Cały on! Siedzi tu sobie w migotliwym świetle choinkowych lampek i zastanawia się, jak by tu podłożyć paczki z prezentami.

Sophie westchnęła.

- W pracy wszystko w porządku?

To pytanie tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że ten mężczyzna nie jest nią zainteresowany.

- W jak najlepszym - burknęła zawiedziona, cofając się od choinki.

- Chcesz czegoś?

No nie, tego już za wiele! W pierwszym odruchu chciała cisnąć w niego pierwszym prezentem, jaki nawinie jej się pod rękę, ale on mówił dalej tym przyciszonym, pozbawionym emocji głosem:

- Herbata? Brandy? Szampan? Pierścionek zaręczynowy?

- Coś ty powiedział?

- Herbata...

Jednak rzuci w niego czymś.

- Nie chcę - warknęła. Zachichotał.

- Chodź, usiądź przy mnie, Sophie. Chcę ci powiedzieć, jak cię kocham.

Postąpiła dwa niepewne kroczki. Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Wniosłaś w moje życie coś nowego, coś, czego dotąd nie znałem, a jeśli nawet, to zapomniałem. I wierz mi albo nie, ale to najcudowniejszy na świecie podarunek.

Ujął ją pod brodę, przyciągnął do siebie i złożył na jej ustach pocałunek.

- Kocham cię, Sophie. Wyjdiesz za mnie?

Patrzyła na jego twarz zmieniającą kolory z niebieskiego na zielony, czerwony i znowu niebieski w rytm migających lampek choinkowych.

- Przecież ty nie chcesz się wiązać - przypomniała mu.

- Nie chciałem - skorygował - dopóki w moim życiu nie pojawiła się wysoka, smukła kobieta o długich czarnych włosach i uśmiechu, który rozjaśnia cały wszechświat. Dzięki tobie narodziłem się na nowo, Sophie. Tobie to zawdzięczam.

Przytuliła się do niego, świadoma niebezpieczeństwa, jakie to z sobą niesie.

- Oddaję ci głos - wyszeptał.

- Nie wiem, co powiedzieć...

- Mogłabyś zacząć od tego, że mnie kochasz - zasugerował nieśmiało, i usłyszała w jego głosie lęk przemieszany z nadzieją.

- Przecież już to wiesz. Moje pocałunki ci to powiedziały.

- Ale chcę to usłyszeć - nie ustępował.

- Kocham cię, Gib - wyrzuciła z siebie.

- I wyjdiesz za mnie?

- Tak, wyjdę - rzekła zduszonym głosem.

- No to jest tu jeden gwiazdkowy prezent dla damy. Wigilia, nasza Wigilia, możesz go więc rozpakować.

Wcisnął jej w dłonie małe pudełeczko. Otworzyła je drżącymi rękami i zobaczyła ogromny diament iskrzący się barwami choinkowych lampek.

- Przymierz - powiedział Gib drżącym z emocji głosem.

- Ty to zrób - poprosiła, podsuwając mu rękę. Wsunął jej pierścionek na palec.

- Kiedy będę to robił następnym razem, staniesz się panią Gibson - wymruczał i pocałował ją.

I długo, bardzo długo, żadne z nich nie odezwało się już słowem.

- No to jest już to Boże Narodzenie, czy nie?! Sophie uchyliła ciężkie powieki i zobaczyła nad sobą zniecierpliwione oczy dziecka i dwa czarne guziczki symbolizujące oczka słonia.

- Tak, dzisiaj jest Boże Narodzenie - zapewniła, a Thomasowi buzia pojaśniała. - Już wstaję. Ubiorę się, pomogę ubrać się tobie i pójdziemy zobaczyć, czy Święty Mikołaj już był, i czy ci coś zostawił pod choinką.

Okazało się, że pod choinką było sporo paczek i przez następną godzinę Thomas z wypiekami na buźce rozpakowywał prezenty, pokazując każdy Sophie, cioci Etty i Gibowi.

- Widzę, że wy też podarowaliście sobie niełichy prezent - powiedziała ciocia Etty, stawiając przed Sophie filiżankę ze świeżo zaparzoną kawą.

Sophie poczuła, że czerwienieje.

- Nic nie mów. Jak tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że jesteście dla siebie stworzeni - rzekła spokojnie Etty. - I bardzo się cieszę, że on też to zauważył.

Po rozpakowaniu wszystkich prezentów Thomas wcielił się w rolę niewyrośniętego Świętego Mikołaja, wręczył prezenty cioci Etty i Gibowi, i patrzył z napięciem, jak Gib rozpakowuje swoje czekoladowe słonie. I kiedy Gib powiedział, że właśnie o takim podarunku marzył, był w siódmym niebie.

Po lekkim śniadaniu składającym się z owoców i naleśników Gib oznajmił, że pora na wizytę.

- Jaką znowu wizytę? - zdziwiła się Sophie.

- No jak to! - zachnął się z uśmiechem Gib. - Zapoznawczą, u rodziny.

- Twojej rodziny? - spytała Sophie.

- A mojej - przytaknął. - Poprosiłem ich, żeby przełożyli o jeden dzień bożonarodzeniowe przyjęcie, bo mam im do zakomunikowania coś specjalnego.

Jedną ręką zagarnął z podłogi Thomasa, drugą objął w talii Sophie.

- A czyż może być coś bardziej specjalnego niż moja przyszła żona i synek? - zawołał, a Sophie zobaczyła w jego oczach miłość do nich obojga.

Oto ziściły się jej marzenia. Będzie miała prawdziwą rodzinę.